Dziś w numerze: O Muzeum Sztuki, plastyce i naszym mieście • Zamoyski w Mołdawii • Trzy główki • O miłości i niezwykłym jubileuszu • Seryjne madonny • Kabaret „Gernisse" • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy

Nr 42 (404)
23. X. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

WYSTAWA FOTOGRAFIKI ŁTF

Romuald Kowalik — Twarde charaktery.

KRZYSZTOF POGORZELEC

PASJA XX wieku

Ryk samochodowych silników na torach San Remo, La Mens, w Rilay. Monte Carlo, w Rajdzie Tulipanów. „Ferari" kontra „Ford", „Renault" przeciw „Fiatowi", już nie na torze, lecz w handlowych negocjacjach, już nie środek komunikacji lecz towar, już nie SAMOCHOD, największa pasja XX wieku.

Na każdy 1000 Polaków przypada — 6,1 samochodów osobowych.

Jak to było gdzie indziej?

Anglia	— 136
Francja	— 156
Szwecja	— 213
USA	— 367

Samochód: NAJWIĘKSZE HOBBY WSPÓŁCZESNOŚCI.

Zachodnioeuropejskie pisma publikują zdjęcie moskiewskiej ulicy Gorkiego zatłoczonej samochodami. Ministrowie Związku Radzieckiego — Gromyko i Tarasow współuczestniczą w podpisaniu jednej z największych transakcji handlowych w świecie, opiewającej na 900 mln dolarów, za które FIAT wybuduje w mieście Togliatti nową fabrykę samochodow. 800 tys. samochodów osobowych wyjedzie na radzieckie szosy i autostrady. Komentatorzy zachodnioeuropejskich pism gospodarczych nadali już nową nazwę „słowiańskiemu" Fiatowi — „fiatski".

Ten proces — społeczny i gospodarczy zaczyna również docierać i do naszego kraju. Jak podają statystyki w r. 1964 po polskich szosach krążyło już ponad 180 tys. samochodów osobowych, przy czym — jak twierdzą wtajemniczeni, co roku przybywa nam około 25 tys. samochodów osobowych.

Warto się więc zająć tym procesem,

Dalszy ciąg na str. 5

KONRAD FREJDLICH

PARAGRAF 204

Fakty nawet nieuporządkowane, nawet zupełnie przypadkowe wpisane do reporterskiego notatnika, muszą wywołać niepokój. Zna je zresztą dobrze, może nawet lepiej ode mnie, pilny czytelnik rubryki sądowej w codziennych gazetach. Na ulicy Piotrkowskiej grupa wyrostków wciąga w wiadomym celu do bramy przechodzącą tamtędy dziewczynkę. Podobny, tylko w dwójnasób brutalniejszy wypadek zdarzy się potem na ulicy Wólczańskiej. Wreszcie milicja ujmie i posadzi za kratkami osobliwą bandę Zielonego Rogu „wsławioną" w okolicach ul. Gdańskiej i Kopernika bandycko-erotycznymi ekscesami, której członkowie, w liczbie 15, wyszkolili się w fizycznym i moralnym pastwieniu nad swoimi ofiarami.

Oto pierwsze z brzegu przykłady, które sygnalizują jednak ze względu na swój zewnętrzny kształt, na wyjątkowy cynizm bandziorów i bezprzykładne poniżenie ofiar, poważny społeczny problem. Problem, który znaliśmy do tej pory z archiwum psychiatrii sądowej, gdyż przypominali o nim niekiedy zboczeńcy i psychopaci, społeczny margines zarezerwowany dla patologii. Obecnie jednak mamy do czynienia z niemal rodzajowo różnym zjawiskiem, a jego rozmiary, ściślej zaś formy, w jakich się ono objawia każą nam na nie spojrzeć z punktu widzenia społecznego zagrożenia. Dały temu zresztą już wyraz statystyki sądowe wyodrębniające gwałty, przestępstwo z art. 204 Kodeksu Karnego do osobnej grupy rodzajowej, czego potrzeba, jeszcze nie tak dawno, zupełnie nie zachodziła.

Nie będziemy tu cytować szczegółowych danych statystycznych opracowanych przez sądy i prokuratury w Łodzi, wystarczy bowiem jeśli powiemy, że przestępstwa z art. 204 kk cechuje stała progresja ilościowa. Da się poza tym wyodrębnić próg szczególnego nasilenia spraw tego rodzaju na przełomie lat 1964/65, co pozwala nam od razu dość precyzyjnie zakreślić granice czasowe, w których zagadnienie używania przemocy fizycznej w stosunku do dziewcząt i kobiet wystąpiło najostrzej. Są to zarazem granice czasowe, w których dał nam o sobie znać problem tzw. wyżu demograficznego, choć bez szczegółowych socjologicznych badań trudno powiedzieć, a nawet przypuścić, jaki pomiędzy tymi zjawiskami zachodzi związek. Istnienie takiego związku sugerować może jednak fakt, że jak to wynika z analizy przeprowadzonej przez Prokuraturę Wojewódzką dla m. Łodzi [1]) zdecydowana większość sprawców przestępstwa z art. 204 kk ukończyła 18, nie przekroczyła zaś jeszcze 21 lat życia, ich start przypada więc na lata wyżu demograficznego. Formułuję to zresztą bardzo ostrożnie, gdyż nie posiadam żadnych dodatkowych danych na potwierdzenie podobnego związku. Brak danych nie pozwala mi też na podanie ścisłej liczby sprawców gwałtów, choć na pewno było ich więcej niż wszczętych spraw karnych, gdyż z reguły przestępcy działają zbiorowo, dla zapewnienia sobie przewagi fizycznej nad swymi ofiarami.

Waga zagadnienia tkwi jednak, moim zdaniem, nie w rosnącej tendencji statystycznych danych, choć oczywiście, lekceważyć ich nie można. Liczby te brzmią jednak szczególnie przejmująco, dopiero wtedy, gdy

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Sześciodniowa wizyta polskiej delegacji partyjno-rządowej w ZSRR zakończyła się wielkim wiecem przyjaźni w kremlowskim Pałacu Zjazdów i podpisaniem wspólnego oświadczenia, potwierdzającego całkowitą zbieżność poglądów rozmawiających stron na rozwój stosunków dwustronnych oraz sytuacji międzynarodowej. Oba te bowiem zagadnienia: problemy ekonomiczne i polityczne były przedmiotem rozmów najwyższych przedstawicieli Związku Radzieckiego i Polski.

Z rozległej problematyki międzynarodowej oczywiście na plan pierwszy wysunęły się: konflikt wietnamski oraz bezpieczeństwo Europy.

Agresja amerykańska w Wietnamie ciąży poważnie na stosunkach między Wschodem i Zachodem. Poprawa klimatu jest przedmiotem naszej stałej troski i ciągłych wysiłków. Tak długo jednak nie nastąpią tutaj poważniejsze zmiany, jak długo trwać będzie agresja w Wietnamie. Jeśli Stany Zjednoczone — jak to wynika z ostatnich wypowiedzi oficjalnych przedstawicieli — naprawdę zmierzają do „ustanowienia zdrowych stosunków gospodarczych i kulturalnych z państwami komunistycznymi", jeśli stawiają sobie za cel „polepszenie klimatu" — to szczerość swoich intencji powinny udowodnić przede wszystkim w Wietnamie. Działanie bowiem, a nie słowa, choćby najpiękniej dobrane, jest sprawdzianem intencji.

Państwa socjalistyczne udzielają walczącemu narodowi niezbędnej pomocy. Temu zawdzięczać należy, że skutecznie opiera się on nowoczesnej technice militarnej agresora. Pomoc ta byłaby jednak bardziej skuteczna, gdyby państwa socjalistyczne działały jednolicie. Niestety Chińska Republika Ludowa, która przecież graniczy z Wietnamem, zamiast złączyć swe wysiłki z naszymi krajami, przeciwstawia się skoordynowanej pomocy. Utrudnia to sytuację i zachęca Stany Zjednoczone do kontynuowania agresji. Sprzyja jej również antyradziecka kampania kierownictwa KPCh wszystko to stawia z całą ostrością sprawę jedności i zwartości międzynarodowego ruchu komunistycznego.

„Walkę o jedność obozu socjalistycznego — mówił Władysław Gomułka na wspomnianym na wstępie wiecu w pałacu kremlowskim — będziemy i musimy prowadzić aż do skutku, gdyż jedność całej wspólnoty socjalistycznej jest niezbędna dla pokonania imperialistycznych sił wojny i skierowania rozwoju sytuacji w świecie na drogę pokojową".

W toku rozmów polsko-radzieckich poważne miejsce zajęły problemy Europy, bezpieczeństwa jej narodów.

Dlaczego ten problem wysuwa się zaraz na drugie miejsce po wietnamskim?

Spośród licznych powodów wymienić trzeba co najmniej trzy: PO PIERWSZE — właśnie z Europy dwukrotnie w ciągu pięćdziesięciu lat rozpalał się płomień wojny światowej, PO DRUGIE — tutaj dwie najpotężniejsze armie świata znajdują się zaledwie na odległość strzału, PO TRZECIE — w jej środkowej części jest państwo, które zasadą swej polityki uczyniło roszczenia terytorialne i odwet. Z tych to względów Europa jest kontynentem najniebezpieczniejszym.

Z drugiej strony właśnie w Europie najwyraźniej załamują się stare, nigdy nie mające uzasadnienia, ale teraz przewracające się z trzaskiem, koncepcje „wspólnej obrony" przed „niebezpieczeństwem komunistycznym". Tak więc usuwa się podstawa struktury militarnej NATO, a niektóre kraje zaczynają aktywnie rozwijać stosunki z Europą wschodnią.

Lipcowa narada w Bukareszcie Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego określiła drogi, jakie prowadzą do owocnej współpracy krajów europejskich i uczynienia z naszego kontynentu przykładu pokojowej koegzystencji. Jednym z warunków takiego ułożenia stosunków jest uznanie nienaruszalności istniejących granic.

„Związek Radziecki — stwierdził na sobotnim wiecu sekretarz generalny KC KPZR, Leonid Breżniew — uważa obronę obecnych granic Polski, wszystkich krajów Układu Warszawskiego, za swój święty obowiązek, za najwyższe internacjonalistyczne zadanie".

To przypomnienie stanowiska ZSRR ma dla nas — Polaków szczególne znaczenie wobec nie milknących w w NRF głosów „o granicach z 1937 roku".

Z nieodwracalności historycznych faktów zdają sobie sprawę wszyscy rozsądnie, realistycznie patrzący na życie. Jeśli za takich właśnie chcą uchodzić politycy amerykańscy i tak rozumieją swoje słowa o potrzebie „usunięcia sporów terytorialnych i granicznych, jako źródła niesnasek w Europie" — dlaczego tolerują rewizjonistyczną politykę Bonn?

Kraje socjalistyczne niejednokrotnie oświadczały, że nie wnoszą żadnych roszczeń terytorialnych. Nie ma takich sporów w Europie. Jest natomiast problem pokoju i bezpieczeństwa narodów.

Rozmowy polsko-radzieckie w Moskwie dobitnie potwierdziły wolę obu krajów uczynienia wszystkiego, co w ich mocy, by zapewnić odprężenie i poprawę stosunków międzynarodowych.

* ★ *

Z innych ważniejszych wydarzeń ostatnich dni odnotować trzeba przede wszystkim: pierwszą od 1964 roku rozmowę Johnson — Gromyko, w czasie której dokonano przeglądu najistotniejszych momentów sytuacji międzynarodowej i po której wielu obserwatorów oczekuje postępu w sprawach broni nuklearnej oraz rozpoczętą w poniedziałek podróż Johnsona do sześciu krajów Azji. Ta ostatnia może być papierkiem lakmusowym szczerości wypowiedzi prezydenta USA i wykaże, czy jego ostatnie słowa mają coś więcej na względzie niż tylko interes wyborczy.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ Specjalny wysłannik AFP w Hanoi, Jean Raffaelli, odbył w czasie przyjęcia wydanego przez rząd DRW na cześć delegacji bułgarskiej, 10-minutową rozmowę z premierem Pham Van Dongiem. „Wojna, która została nam narzucona — oświadczył premier — kontynuowana będzie aż do zwycięstwa, bez względu na ofiary". Opuszczającemu Hanoi dziennikarzowi AFP, premier DRW złożył życzenia szczęśliwej podróży. J. Raffaelli korzystając z tej okazji zapytał: Może spotkamy się w Genewie?.. Na co premier odparł bez wahania: Któż to wie? Dlaczego by nie? A nuż...?

■ **Ładunek bomb zrzuconych w toku barbarzyńskich rajdów lotnictwa USA na Wietnam w roku bieżącym, przewyższy tonaż bomb zrzuconych w czasie drugiej wojny światowej przez lotnictwo amerykańskie na całym obszarze Pacyfiku i będzie większy od tonażu użytego w czasie trzech lat wojny koreańskiej.**

■ W Bukareszcie ogłoszone zostały zmiany w ustawie regulującej sprawę rozwodów. Wprowadzone zmiany mają na celu większą niż dotychczas ochronę rodziny przed zbyt łatwym rozpadem. Na przestrzeni ostatniego czasu wskaźnik rozwodów w Rumunii był szczególnie wysoki i stawiał ją pod tym względem na jednym z pierwszych miejsc w świecie. Ilość rozwodów sięgała prawie jednej czwartej zawieranych małżeństw.

■ **Przewodniczący senackiej podkomisji gotowości bojowej, senator Stennis oświadczył, iż „aby nie dopuścić do nieprzewidzianego zwrotu biegu wydarzeń w Wietnamie" USA zwiększą swój wojskowy personel w Wietnamie Południowym do liczby co najmniej 500 tysięcy ludzi do końca 1967 roku. Po czym senator dodał, iż „Wstrząśnięty jest faktem, że mały kraj nie posiadający niemal marynarki, ani lotnictwa, zdolny jest tak dalece związać Stany Zjednoczone".**

■ W trakcie swej ostatniej konferencji prasowej, prezydent Johnson nawiązując do rozmów z ministrem spraw zagranicznych ZSRR, Andrzejem Gromyko oświadczył, że były one owocne i rokujące nadzieje, i że jego zdaniem dadzą one dodatnie rezultaty. W odpowiedzi na pytanie, czy widzi jakiś promyk nadziei na poprawę stosunków między USA i ZSRR, Johnson stwierdził: „Jestem optymistą. Nie widzę powodu, dla którego naród amerykański miałby się obawiać narodu rosyjskiego".

■ Z Pekinu donoszą, iż dziennikarka pochodzenia amerykańskiego, Anna Luiza Strong, która ukończyła 80 lat, wstąpiła do organizacji hunwejbinów (Czerwonej Gwardii).

■ Wiceprzewodniczący SPD Herbert Wehner, wysunął propozycję utworzenia „niemieckiej wspólnoty gospodarczej", stanowiącej pewnego rodzaju fuzję władz gospodarczych NRF i NRD. W ramach takiej wspólnoty można by, zdaniem Wehnera zlikwidować „nienaturalny podział walutowy" między dwoma państwami niemieckimi, zawrzeć długoterminowe układy o wzajemnym zaopatrywaniu się w energię oraz wprowadzić wspólny system kredytowy. Jak informuje DPA, przewodniczący Rady Państwa NRD, Walter Ulbricht, w wywiadzie dla „Neue Ruhr Zeitung" pośrednio ustosunkował się do propozycji Wehnera. W. Ulbricht oświadczył, iż rząd NRD „jest gotów do wszystkich rokowań między dwoma państwami niemieckimi". Jednakże „muszą mówić ze sobą ci, którzy posiadają również władzę, aby osiągnąć konkretne wyniki". Natomiast „w sprawach gospodarczych zachodnioniemiecka władza nie znajduje się w rękach wiceprzewodniczącego SPD, Wehnera".

■ Agencja Tanjug podaje, że istniejące jeszcze przywileje ekonomiczne dla wyższych funkcjonariuszy państwowych i członków parlamentu w Jugosławii, zostają obecnie zniesione. Ustawa w tej sprawie obowiązywać ma od 1 listopada. Od tego dnia nie będą pokrywane z funduszów państwowych rozmowy telefoniczne przeprowadzane z mieszkań tych funkcjonariuszy, jak też nie będą pokrywane opłaty za mieszkania części funkcjonariuszy państwowych.

■ Japońska agencja Kyodo relacjonuje przebieg rozmowy, jaką kilku korespondentów japońskich przeprowadziło w Pekinie z grupą czerwonogwardzistów. „Jesteśmy — powiedzieli hunwejbinowie — oddziałem szturmowym rewolucji kulturalnej, jako rezerwowe oddziały Armii Wyzwoleńczej. Związek Młodzieży Komunistycznej i organizacja Pionierów zatraciły swój klasowy charakter. Czerwona Gwardia pozostanie na zawsze".

■ Obserwatorzy polityczni w Rzymie przewidują, iż w związku z pogłoską o możliwości wysunięcia kandydatury papieża Pawła VI do Nagrody Nobla w dziedzinie utrwalenia pokoju, Pontyfik nie przyjmie jej, ponieważ, jak się sądzi, papież uzna, iż praca na rzecz pokoju jest obowiązkiem jego urzędu i z tej racji nie powinno się jej honorować specjalnym wyróżnieniem.

■ **Pismo „Leninskoje Znamia" opublikowało dalszy odcinek pamiętników marszałka Żukowa, w którym pisze on o roli Stalina podczas walk o Moskwę. „Pytają mnie często — pisze Żukow — o to, jaką rolę odegrał Stalin podczas walk o Moskwę. Otóż Stalin był w Moskwie, organizował siły i dostawy materiałów, by zniszczyć wroga. Należy mu oddać sprawiedliwość. Dokonał on ogromnej pracy w mobilizacji rezerw strategicznych i środków technicznych niezbędnych dla obrony stolicy jako przewodniczący Komitetu Obrony, opierając się na pracownikach komisariatów. Można powiedzieć, że dzięki swej niezłomności osiągnął on rzeczy niemalże niemożliwe."**

■ Rządowi Stanów Zjednoczonych przedstawiono dokument, na który składa się studium statystyczne ukazujące wzrost śmiertelności wśród palaczy tytoniu na choroby, jakie powoduje ten nałóg, a więc na raka płuc, choroby serca, chroniczny bronchit itp. Dokument zawiera dane z okresu lat 1950—1954.

■ Ostatnim krajem, w którym rozpoczęto dyskusje na temat wejścia do „klubu" państw dysponujących bronią nuklearną jest neutralna Szwajcaria. Uzbrojenia atomowego domaga się armia i szwajcarscy przemysłowcy.

■ **Leonid Breżniew: „Nie raz oświadczaliśmy, że jeśli Stany Zjednoczone pragną rozwijać wzajemne, korzystne stosunki ze Związkiem Radzieckim (a my w zasadzie pragnęlibyśmy tego), to w tym celu należy usunąć z drogi główną przeszkodę: zaprzestać pirackich nalotów na socjalistyczny kraj — DRW; położyć kres agresywnej wojnie przeciwko narodowi wietnamskiemu; nie w słowach, lecz w praktyce szanować niezawisłość, suwerenność przestrzegać integralności innych krajów i narodów."**

— Szczęśliwy, kto wyrzekł się i porażki i zwycięstwa. (Budda).

(„Punch")

Pozycja Erharda w oczach zachodnioniemieckiego karykaturzysty.

(Die Zeit)

„JAK SIĘ DAWNIEJ LISTY PISAŁY"

Kiedy człowiek dzisiejszy bierze do ręki opublikowany tom listów zmarłego pisarza (czy jakiegokolwiek innego twórcy), zdumiewa go rzecz następująca: po pierwsze — obfitość tych listów, po drugie — waga, jaką do nich przywiązywali ich autorzy. Żyjemy w epoce, w której sztuka epistolarna zanika i to jak najbardziej skutecznie. Dziś ważne i pilne sprawy załatwia się przy pomocy depeszy i telefonu. Za lat pięćdziesiąt lub sto, wydawcy nie będą mogli ogłaszać listów zmarłych twórców z tego prostego powodu, że ich nie będzie, albo też treść ich dotyczyć będzie spraw błahych, doraźnych, a więc nie zasługujących na utrwalenie w druku i przekazanie potomności. Ludzie dzisiejsi, również twórcy, nie mają czasu na pisanie długich i pięknych listów. Co innego dawniej, przed laty, w dobie Orzeszkowej i nieco później. Były to czasy, w których sztuka epistolarna kwitła w najlepsze, ba! w listach zawierała się istotna część wiedzy o ludziach i epoce. Dziesięć tomów listów Orzeszkowej do pisarzy i naukowców to prawdziwa kopalnia informacji, przemyśleń, które to tomy nie tylko uzupełniają twórczość autorki „Nad Niemnem", lecz stają się wartością samoistną, osobną, zasługującą na baczną uwagę. Właśnie ukazał się po polsku pierwszy tom „Listów" Tomasza Manna, obejmujący lata 1889—1936. Dwa dalsze obejmować będą lata 1937—1947 oraz od 1948 do chwili zgonu pisarza. Listy te przygotowała pieczołowicie do druku najstarsza córka pisarza, sama również autorka, Erika Mann, żona znanego poety anglo-amerykańskiego W. H. Audena. Pierwszy tom „Listów" Tomasza Manna liczy ponad 600 stron druku, a i następne nie będą mniejsze. Jeśli zważyć, że nie zawierają one całej puścizny epistolarnej Manna (pewne listy nie mogą być jeszcze opublikowane ze względu na żyjące osoby), podziw nasz dla ich autora stanie się tym większy. Tomasz Mann nie traktował swoich listów jako marginesów życia towarzyskiego. Przykładał do nich taką samą wagę, jak do utworów literackich. Więcej: jego listy są perełkami literackiego kunsztu, to jakby małe rozprawki, eseje lub felietony. Tomasz Mann był pisarzem niezwykle serio w tym sensie, że ogromnie poważnie traktował to wszystko, co wychodziło spod jego pióra. Zwykła notatka, zwykłe doniesienie w liście podnosił do godności literatury. Staje się to niekiedy aż denerwujące. Odnosi się wrażenie, że od samego zarania swej twórczości Tomasz Mann pisał swoje listy z myślą o potomności. Jest coś kapłańskiego w tym jego podejściu do każdego zapisanego słowa. Lista ludzi, z którymi Tomasz Mann korespondował, jest ogromna. Czasami się nawet wydaje, jakby specjalnie dbał o to, by nie zabrakło w jego kręgu najwybitniejszych ludzi epoki. Oczywiście przede wszystkim z obszaru niemieckiego. Ale to nieprawda, że się o to specjalnie starał. To inni starali się o związki z Tomaszem Mannem w miarę jak uzyskiwał on coraz większe znaczenie i sławę.

„Listy" Tomasza Manna dają wgląd w sferę jego zainteresowań, w jego warsztat twórczy i problematykę, która go pasjonowała. W listach znajdują odbicie jego podróże, spotkania z ludźmi, rozmowy, refleksje nad własną i cudzą twórczością. W tym pierwszym tomie (i pozostałych) zawiera się cała historia Tomasza Manna i jego rodziny. Szczególnie ciekawe pod tym względem są tomy drugi i trzeci, na których polską edycję musimy jeszcze poczekać. Pokazują one życie autora „Czarodziejskiej Góry" na wygnaniu, najpierw w Europie, a później na kontynencie amerykańskim. Tomasz Mann nawet w najcięższych okresach swego życia nie zaniedbywał pracy pisarskiej. Była ona dla niego najważniejsza. W czytelniku polskim budzi się nieraz żal do pisarza za to, że w roku 1941 pamiętał o wielu rzeczach, natomiast umysłu jego nie zaprzątnęła taka sprawa jak powstanie warszawskie. Nigdzie o niej ani śladu, ani wzmianeczki. Nie, nie jestem przewrażliwiony i nie uważam bynajmniej, że wszystko, co polskie jest ważne, i że musi obchodzić innych. Ale wówczas, gdy Tomasz Mann był na emigracji i gdy toczyły się losy wojny i świata, wrażliwy pisarz nie mógł pozostać obojętny na to, co działo się w Warszawie. Może Tomasz Mann o tym myślał, ale śladu jego myśli nie znajdujemy ani w trzech tomach „Listów", ani w swoistym dzienniku pisarza jakim jest książka pt. „Jak powstał doktor Faustus".

Pozostawmy jednak nasze żale na boku. Nie pierwszy to zawód i nie ostatni, jaki nas spotyka. Nie umniejsza to znaczenia tych listów, które nie tylko dla pisarzy stanowią lekturę ze wszech miar ciekawą. Jedno w każdym razie jest niewątpliwe: Tomasz Mann nie ułatwiał sobie życia i literatury. Pisał przecież: „Literatura nie jest po to, by życie ułatwiać. Jest po to, aby je utrudniać". Tomasz Mann dowiódł tego zarówno swoim życiem jak i swoim pisarstwem.

JAN KOPROWSKI

O muzeum, plastyce i naszym mieście mówi mgr RYSZARD STANISŁAWSKI

dyr. Muzeum Sztuki w Łodzi

ODGŁOSY: Jaka rolę wyznacza Pan Muzeum Sztuki w swoich planach? W jaki sposób zamierza Pan te plany realizować? Co na ten temat możemy już dzisiaj powiedzieć naszym Czytelnikom?

DYR. STANISŁAWSKI: Zacznijmy od tego, że Muzeum Sztuki w Łodzi jest placówka bardzo specyficzna i w ogólnym obrazie muzealnictwa polskiego stanowi wydzielona jednostkę, która, oczywiście, musi spełniać także specyficzną rolę. Odmienność Muzeum łódzkiego polega na tym, że jest to jedyne Muzeum w Polsce posiadające współczesna miedzynarodowa kolekcję dzieł sztuki. Kolekcja ta jest niewielka, niemniej, powtarzam, j e d y n a, a więc z punktu widzenia badań naukowych w dziedzinie sztuki współczesnej i kontaktów, które z ta sztuka na terenie Polski można nawiązać — unikalna. Z tego względu Muzeum ma przed sobą zadania dwukierunkowe. Z jednej strony rola naukowa tego Muzeum polega na współpracy ze środowiskami naukowymi, środowiskami historyków i krytyków sztuki zajmującymi się problematyka sztuki współczesnej. A więc — nawiązywania kontaktów z ośrodkami na terenie całej Polski, szczególnie z ośrodkiem warszawskim, krakowskim i poznańskim właśnie w zakresie badań nad początkami i rozwojem sztuki nowoczesnej. Z drugiej strony mamy do czynienia z Muzeum, które znajduje się na terenie miasta przemysłowego, miasta jedynego w Polsce o takim właśnie przekroju społecznym jakim jest Łódź. Stąd nasuwa się nieodparcie konieczność wyjścia z problematyka Muzeum na zewnątrz, nawiązania bliskich kontaktów poprzez dział oświatowy, stąd potrzeba przeróżnych imprez oraz innych form współpracy z szerokimi warstwami społeczeństwa, zwłaszcza z młodzieżą Łodzi i woj. łódzkiego. A więc — wyjście z problematyka wielkiej sztuki poza mury Muzeum, oswojenie z nią, przekazanie jej treści, zapoznanie z osiągnięciami jakie sztuka nowoczesna ze sobą niesie, z całą złożoną, skomplikowaną treścią sztuki nowoczesnej, która budzi często dyskusje, polemiki i spory. Widziałbym zasadniczą rolę Muzeum Sztuki w tych dwóch głównych nurtach. Chciałbym podkreślić, że Muzeum ze swym Działem Sztuki Nowoczesnej nie może być muzeum martwym, zamkniętym na jakimś określonym okresie i uzupełnianym jedynie dziełami, które się spotyka na rynku. Sądzę, że Muzeum ze swym Działem Sztuki Współczesnej musi być żywe, nieustannie zmieniające się w ekspozycji sztuki najnowszej. Taka jest bowiem sztuka naszych czasów — żywa, stale zmieniająca się w tym zmieniającym się nieustannie świecie. Stąd konieczność uzupełniania zbiorów, eksponowania nowych nabytków w ramach możliwości jakie stwarza gmach, który notabene jest mało przydatny na zbiory muzealne. Biorąc pod uwagę pałacowość i minimalna przystosowalność architektoniczna tego gmachu dla celów muzealnych, sygnalizujemy jeden z naszych zasadniczych problemów: wcześniej czy później będziemy musieli rozpatrzyć konieczność postawienia gmachu specjalnego, przeznaczonego na muzeum. Myślę, że tego rodzaju inwestycja na terenie Łodzi byłaby inwestycja jak najbardziej zgodna z charakterem wydatków kulturalnych miasta. Powtarzam, Muzeum nasze jest unikalne, to nie jeszcze jedno muzeum, nie jeszcze jedna Filharmonia, czy jeszcze jedno kino — ale jedyne w swoim rodzaju Muzeum na terenie Polski.

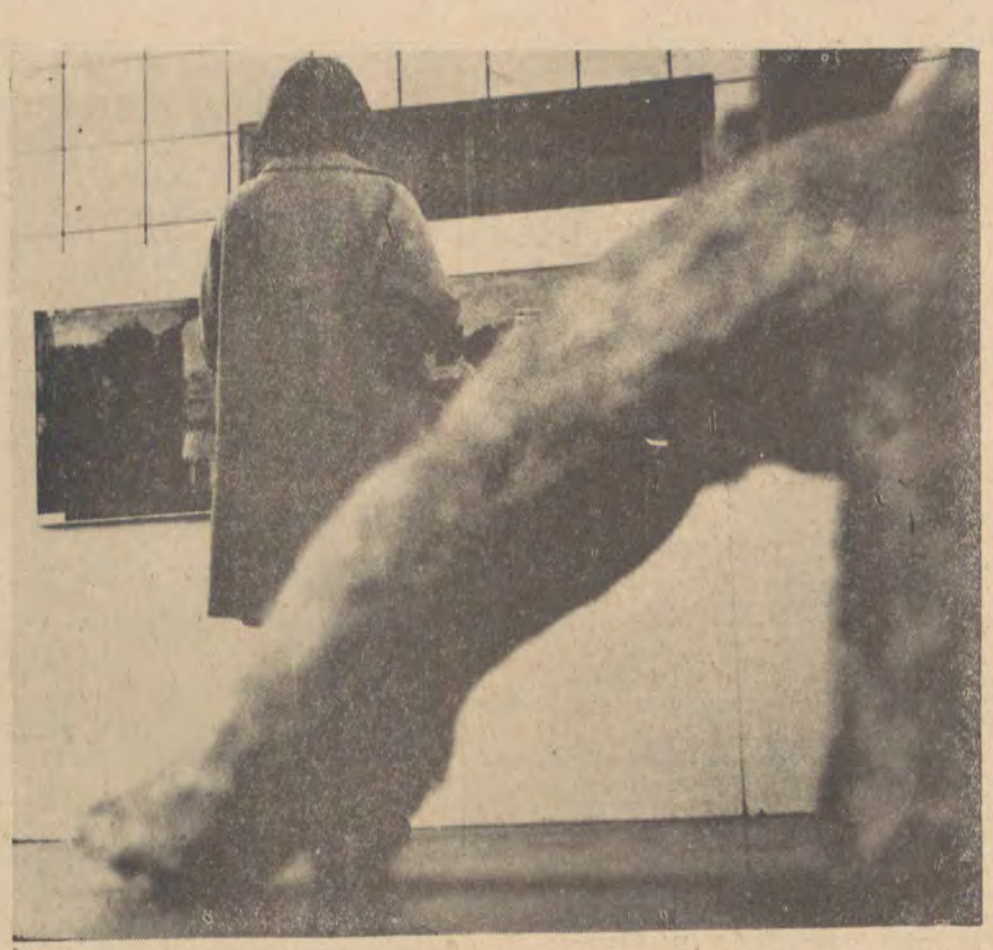

Fot. A. Dębowski

ODGŁOSY: Unikalność ta jest i szansą dla miasta, choćby z punktu widzenia uatrakcyjnienia go jeśli chodzi o turystykę. No i jeżeli Muzeum Sztuki Współczesnej — to chyba i festiwal sztuki współczesnej kiedyś w przyszłości?

DYR. STANISŁAWSKI: Zainteresowanie naszym Muzeum jest już ogromne. Niedawno ukazał się międzynarodowy przewodnik po muzeach sztuki współczesnej. Na terenie naszego kraju wymieniono, jeśli chodzi o sztukę współczesną, tylko Muzeum łódzkie. Nic też dziwnego, że już dziś wśród turystów zawsze znajdują się miłośnicy sztuki, i ci nas odwiedzają i teraz, kiedy prowadzimy roboty remontowe. Nie ma dnia, w którym ktoś nie pragnąłby odwiedzić naszego Muzeum, szczególnie przy okazji różnych zjazdów i konferencji międzynarodowych. Odwiedzają nas od czasu do czasu i krytycy z całego świata. Na jutro np. mam zapowiedziana wizytę Japończyka, bardzo wybitnego krytyka, p. Yusuke Nakahara, który przyjeżdża specjalnie po to, by obejrzeć nasza kolekcję. Takie zainteresowanie warto traktować z pietyzmem.

ODGŁOSY: Słyszeliśmy, że pracuje Pan, jako kierownik naszej łódzkiej placówki nad wystawą polskiej sztuki nowoczesnej.

DYR. STANISŁAWSKI: Przygotowujemy, niejako w imieniu innych polskich muzeów i polskiego świata artystycznego, wystawę do Londynu na rok przyszły. Będzie to wystawa, mówiąc ogólnie, sztuki polskiej XX wieku. A więc poczynając od Wojtkiewicza, Malczewskiego poprzez Makowskiego aż do współczesności. Sprawa nie jest łatwa. Przygotowanie takiej wystawy polega m. in., niestety, na kolosalnym ograniczaniu szerokości pokazu. Staje się to bolesne nie tylko dla artystów, którzy w tej wystawie nie wezmą udziału, ale w równej mierze dla tych, którzy tę wystawę organizują. Będzie to wystawa, z którą wiążemy duże nadzieje — pierwsza tego rodzaju na terenie Londynu, miasta, które jest dzisiaj, jak wielu uważa, niekoronowaną stolicą sztuki nowoczesnej w Europie.

ODGŁOSY: Wróćmy do spraw naszego Muzeum: Wiele mówiło się o znaczeniu jakie dla Łodzi miałaby nowoczesna ekspozycja. Czy sądzi Pan, że szansa powstania takiego gmachu zarysuje się w perspektywach jeszcze naszego pokolenia?

DYR. STANISŁAWSKI: Ze strony zarówno władz łódzkich, jak i ze strony administracji centralnej, zainteresowanie — jak wykazały pierwsze sondaże — możliwością postawienia odpowiedniego gmachu dla celów muzealnych rzeczywiście istnieje i myślę, że przy opiece tych władz wreszcie on powstanie. Mam nadzieję, że w przyszłej pięciolatce uda nam się rozpocząć (i jak najszybciej ukończyć) budowę gmachu, który będzie nie tylko przyciągał turystów z zagranicy, ale który będzie stanowił na terenie Polski bazę nowoczesnego muzealnictwa. Przypomnijmy, że po wojnie nie wybudowaliśmy żadnego muzeum, adaptowaliśmy jedynie na ten cel przeróżne budynki. Muzeów w Polsce jest około 300, ale żadne z nich, poza Muzeum Narodowym w Warszawie, też pękającym dzisiaj od nadmiaru eksponatów, nie mieści się w specjalnym, funkcjonalnie przemyślanym nowoczesnym gmachu. W czasie moich licznych podróży spotkałem się niemal w każdej stolicy nie z jednym, ale nieraz z paroma takimi nowo wybudowanymi gmachami. Np. w Meksyku, gdzie przebywałem na wiosnę na zaproszenie tamtejszego Instytutu Sztuk Pięknych miałem możność zwiedzenia dwóch muzeów, które stanowią przykład nie tylko najbardziej nowoczesnej, najbardziej zaawansowanej myśli architektoniczno-muzealnej, ale również przykład kolosalnych wkładów pieniężnych, a więc zrozumienia roli kulturotwórczej tego rodzaju inwestycji.

ODGŁOSY: Miał Pan możność stworzenia sobie szerokiej skali porównawczej. Jak na tym tle ocenia Pan dorobek łódzkiego środowiska plastycznego?

DYR. STANISŁAWSKI: Wydaje mi się, iż środowisko łódzkie jest bardzo prężne, ciekawe i zróżnicowane. Że reprezentuje bardzo szeroki wachlarz poszukiwań artystycznych. A przecież mniej się mówi w Polsce o środowisku łódzkim, niż np. warszawskim, krakowskim czy poznańskim. Wydaje mi się, że łodzianie jakoś za mało są eksponowani, że niedostatecznie docenia się możliwości, które istotnie reprezentują w życiu plastycznym Polski. Przełamanie tej bariery środowiskowej jest jednak chyba bliskie. Wielu łódzkich malarzy — najciekawsze zapewne indywidualności — już eksponuje swe prace za granicą, bierze udział w b. poważnych wystawach krajowych i zagranicznych sztuki polskiej — niektórzy z nich wystawiali swoje prace indywidualnie na wystawach w Paryżu, w Londynie, we Włoszech, w Monaco — a to już są osiągnięcia dużej miary. I tak np. dyrektor Stedelijk Museum z Amsterdamu, p. De Wilde, który oglądał prace artystów krakowskich, warszawskich i innych, z największym entuzjazmem wspomina w rozmowie ze mną artystów łódzkich. Środowisko łódzkie zrobiło na nim wyjątkowe wrażenie swoją prężnością, dynamiką, różnorodnością.

ODGŁOSY: A czy sądzi Pan, że nasze środowisko plastyczne, tak prężne, i dysponujące tak szerokimi możliwościami w różnych dyscyplinach, w dostatecznym stopniu odciska swoje piętno na formowaniu się naszej współczesności urbanistycznej. Czy przyjeżdżając do Łodzi odczuwa Pan istnienie takiego środowiska na podstawie kontaktu wizualnego z miastem, z ulicą łódzką?

DYR. STANISŁAWSKI: Przyznam się, że w pierwszych kontaktach z miastem, z jego ulicami i dzielnicami, tego nie odczuwałem. Łódź mimo tak kolosalnych przeobrażeń działa inną specyfiką — działa klimatem miasta mimo wszystko XIX-wiecznego. Ludzi, którzy tu przyjeżdżają po raz pierwszy, najbardziej to uderza. Klimat ten jest niesłychanie autentyczny i co może się wydać paradoksem — urzekający. Myślę tu o odsłoniętych ogródkach pofabrykanckich, małych domkach przy interesujących „pompatycznych" pałacach byłych przemysłowców, o wygasłych już a jeszcze sterczących kominach — to wszystko tworzy atmosferę miasta, która narzuca się z dużą siłą. Nowoczesność jest jakoś od miasta oddalona, sprawia wrażenie, że miasto broni się przed jej inwazją do śródmieścia. Pokazywano mi łódzkie osiedla — zapewne, są one ciekawym przykładem urbanistycznych rozwiązań, jakkolwiek, jeśli mam być szczery, architektury czy propozycji, które by reprezentowały jakieś wyjątkowo śmiałe myśli architektoniczne, nie zauważyłem. Ale proszę wybaczyć mi tę krytykę — na pewno wiele przeoczyłem, bo specjalnie pod tym kątem Łodzi jeszcze nie zdążyłem poznać. Choć przyznać muszę, że ten nieprawdopodobny rozmach nowych inwestycji sprawia ogromne wrażenie. Jakże tu wszystko się zmienia!

ODGŁOSY: Wiemy o Pana pobycie w Meksyku. — Jak po powrocie odbierał Pan nasze rozwiązania architektoniczne? I czy nie dostrzegał Pan w nich ubóstwa współpracy plastyka z architektem?

DYR. STANISŁAWSKI: W stolicy Meksyku nie ma prawie żadnego większego gmachu, który nie byłby opatrzony jakimś freskiem, jakąś monumentalną „broszką" plastyczną. Istnieją całe kompleksy gmachów, np. słynny uniwersytet meksykański, stadiony, gmachy użyteczności publicznej — wszystkie one stanowią przykład symbiozy architektury i plastyki. Meksyk jednak, powiedzmy to sobie, jest rozdziałem samym dla siebie. W takich miastach jak Brasilia, czy stale rozbudowującym się Sao Paulo, które w ciągu 10 lat powiększyło się o parę milionów ludności — a więc tam, gdzie rozwój jest istotnie dynamiczny — problem współpracy plastyka i architekta jest problemem rozwiązanym, nacechowanym nowoczesnością. Architektura staje się po prostu plastyką. Nie ma rozdziału między tymi dwiema dyscyplinami — architekci stają się plastykami a plastycy architektami. Najciekawszym przykładem tego rodzaju współpracy na terenie Polski jest dla mnie dworzec Śródmieście w Warszawie, gdzie kolektyw złożony z architektów i plastyków (prof. prof. Sołtan, Ihnatowicz, Fangor), stworzył plastyczną jedność dzieła tak absolutnie funkcjonalną i posiadającą tak znakomitą informację wizualną, że trudno się domyślić, czego autorem jest plastyk a czego architekt. W polskiej architekturze współczesnej, dla mnie przynajmniej, jest to obiekt najciekawszy i właśnie znamionujący ścisłe powiązanie tych dwóch wspaniałych dziedzin twórczości. TAKICH DZIEŁ PLASTYKI I ARCHITEKTURY ŻYCZĘ ŁODZI.

IZYDOR HAŁAS

RADA jednolito-frontowa

Dnia 27 września 1936 r. odbyły się w Łodzi kolejne wybory do Rady Miejskiej. Przyniosły one walne zwycięstwo siłom lewicy społecznej, bowiem łódzcy komuniści i socjaliści poszli do wyborów pod wspólną listą wyborczą, pod jednolitofrontowymi hasłami wyborczymi. Dużo miejsca wynikom wyborów poświęciła prasa prawicowa. Starając się zbagatelizować wyniki wyborów zmuszona była przyznać, iż właśnie atrakcyjność partii komunistycznej stanowiła jeden z głównych motorów zwycięstwa listy nr 2 (jednolitofrontowej). Sanacja, chcąc pomniejszyć rozmiary swej klęski wyborczej, wyjaśniała iż był to tylko eksperyment polityczny dla oceny siły i kierunku rozwoju opozycji. Oczywiście, w kręgach sanacyjnych jak i endeckich nie brakowało pojedynczych głosów realnie oceniających ów „eksperyment".

Dla lewicy, przede wszystkim dla KPP zwycięstwo wyborcze było jednoznacznym potwierdzeniem siły i atrakcyjności jaka wśród mas robotniczych ma idea zwarcia szeregów do walki z sanacją i narastającym niebezpieczeństwem faszyzmu. Zwycięstwo wyborcze potwierdzało pogląd, że „jednolity front jest nie tylko pożądany i konieczny, lecz możliwy, a raz utworzony prowadzi do zwycięstwa", że wydarzenia łódzkie utorują drogę porozumienia między KPP i PPS na szerszą skalę. Działalność Rady Miejskiej obejmuje okres od 17 grudnia 1936 r. do 8 kwietnia 1937 r. W tym czasie odbyło się 9 posiedzeń, nie licząc niejawnego posiedzenia w dniu 8 kwietnia, odbytego w niepełnym składzie, poświęconego sprawie rozwiązania Rady.

Posiedzenia Rady spotykały się z żywym zainteresowaniem mieszkańców miasta. Publiczność szczelnie zapełniała miejsca na galerii, niekiedy sporo osób gromadziło się przed gmachem, na ul. Pomorskiej 16 obecnie M. Nowotki). Prace Rady przebiegały w warunkach wysokiego napięcia. Zapowiedzią tego był m. in. fakt opóźnienia zwołania Rady na inauguracyjne posiedzenie. Pretekstem blisko 3-miesięcznej zwłoki stały się protesty wyborcze m. in. protest Stronnictwa Narodowego. Druga okolicznością zapowiadająca napięcie sytuacji było to, iż w Radzie zasiadały dwa obozy polityczne: posiadający większość radni lewicowi oraz radni endeccy.

Frakcja endecka od pierwszego posiedzenia zastosowała taktykę mająca na celu sabotowanie konstruktywnej pracy Rady, na dostarczaniu władzom państwowym pretekstu do jej rozwiązania. Tym celom służyć miały zgłaszane przez endeków demagogiczne wnioski, urządzane awantury, w rodzaju okrzyków, gwizdów, bicia w pulpity, grania na trąbkach, napaści na radnych socjalistycznych, chęć wszczynania bójek. Zdarzyło się, że nawet stenotypistki zostały poturbowane, a część stenogramu zniszczona. Niekiedy na skutek tych ekscesów przerywano posiedzenia. Pisma sanacyjne skwapliwie opisywały „gorszące sceny w Radzie Miejskiej w Łodzi" jednak bez podawania ich przyczyn i tła. Gdy radnym endeckim zwracano uwagę, cynicznie odpowiadano: „Trudno, proszę panów, między nami jest walka i względy przyzwoitości muszą upaść".

Radni socjalistyczni zachowywali postawę pełną powagi, spokoju i zimnej krwi, a gdy endecy próbowali atakować mówców, przyjmowali postawę obronną, co z reguły odnosiło pożądany efekt.

Istotnie niedługo trzeba było czekać, na zainteresowanie się rządu sanacyjnego. W dniu 3 marca na VII posiedzeniu Rady podano do wiadomości upomnienie ministra spraw wewnętrznych, zawierające wezwanie Rady do podjęcia normalnej pracy, a zwłaszcza do uchwalenia budżetu. W upomnieniu pisano m. in., że „Rada Miejska dopuszcza się tolerancji wśród swych członków bez względu na ugrupowania, wystąpienia publiczne na posiedzeniach Rady, które uwłaczają powadze i obniżają zaufanie jakim powinny się cieszyć organa administracji publicznej". Wzywano do zaniechania niewłaściwego postępowania pod rygorem zastosowania paragrafów o samorządach dających możność rozwiązania Rady. Reakcyjna prasa triumfowała, przepowiadając bliski koniec socjalistycznej Rady Miejskiej. Wszystko to działo się na kilka dni przed opublikowaniem wiadomości o tym, iż rząd odmówił zatwierdzenia ponownego wyboru Norberta Barlickiego, czołowego działacza PPS, na stanowisko prezydenta m. Łodzi (pierwszego wyboru N. Barlickiego dokonała Rada na II posiedzeniu w dniu 7 stycznia).

Po dziewiątym, najburzliwszym posiedzeniu Rady, minister spraw wewnętrznych 30 marca podpisał dekret o jej rozwiązaniu. Trzeba nadmienić, iż okazją do podniesienia wyjątkowej awantury stał się punkt porządku obrad poświęcony sprawie pokrycia przez Zarząd Miejski kosztów utrzymania dzieci po 2 Żydach zamordowanych w Łodzi przez członków Stronnictwa Narodowego.

Partie lewicowe jeszcze przed rozwiązaniem Rady stawały w jej obronie, a m. in. z inicjatywy Komitetu Łódzkiego KPP w dniu 9 marca miał miejsce strajk protestacyjny około 80 tys. robotników Łodzi.

W takich warunkach rozwijała się harmonijna współpraca radnych frakcji socjalistycznej. Rozpatrywano szereg konkretnych spraw lokalnych i podejmowano uchwały mające ulżyć ciężkiej doli ludzi pracy w mieście. Tak np. na trzecim posiedzeniu radni socjalistyczni zgłosili szereg wniosków nagłych. Uchwalono obniżkę taryfy elektrycznej i cen biletów tramwajowych. Rozpatrywano projekty uruchomienia bezpłatnych kuchni dla ubogiej ludności, o rozszerzeniu pomocy zimowej. Na czwartym posiedzeniu omawiano projekt uchwały o rekwizycji pomieszczeń, które by zamieniano na schroniska dla bezrobotnych. Na ósmym posiedzeniu rozpatrywano natomiast wniosek o zaciągnięcie pożyczki na uruchomienie robót publicznych w celu zatrudnienia bezrobotnych. Wobec braku kwalifikowanej większości, sprawa upadła.

Do wyjątkowo burzliwych należały te posiedzenia, na których wnoszono na porządek obrad sprawę budżetu miasta na rok 1937/38.

Często radni socjalistyczni składając deklaracje, protesty czy podejmując dyskusje poddawali krytyce istniejące stosunki polityczne, gospodarczo-społeczne, demaskowali zgubną dla Polski politykę rządzącego obozu sanacyjnego.

W szczególnie podniosłych momentach lub w odpowiedzi na ataki ze strony radnych endeckich rozbrzmiewały tony „Międzynarodówki" lub „Na barykady". Często intonowała je publiczność na galeriach.

Zwycięstwo jednolitego frontu i krótkotrwałe rządy „Czerwonej" Rady Miejskiej w Łodzi, zaliczane są do rzędu najważniejszych wydarzeń politycznych ostatnich lat Polski przedwrześniowej, bowiem przyczyniło się ono do dalszego rozwoju antysanacyjnego i antyfaszystowskiego ruchu masowego, pomnażało siły klasy robotniczej i chłopstwa, unaoczniało, że jedność działania klasy robotniczej, jej partii jest konieczna i możliwa do osiągnięcia.

PARAGRAF 204

Dalszy ciąg ze str. 1

się je skojarzy ze sposobami działania, z permanentnie doskonalona technika postępowania młodocianych najczęściej bandziorów, dokonujących cudów wynalazczości w zakresie dręczenia i poniżania swych ofiar, bandziorów balansujących na granicy bestialstwa i dobrego ubawu, zabawy po pachy i skrajnego zwyrodnienia. Prawdziwie okrutna jest więc nie statystyczna, ale moralna wymowa tych liczb i ona dopiero unaocznia nam rozmiary zwyrodnienia nieznacznej i możliwej niemal ściśle do określenia grupy młodych ludzi, którzy urodzili się za późno o jakieś tam głupie pare tysięcy lat.

Aby nie było niedomówień powiedzmy sobie od razu, że nie chodzi o ludzi przypominających swym wyglądem Pithecantropusa ani nawet Neandertalczyka. Smutne jest to właśnie, że przypominają oni wyglądem przeciętnych, uczciwych ludzi i reprezentują normalny umysłowy poziom rozwoju. Niektórych z nich moglibyśmy zresztą zaliczyć do ludzi niemal ujmujących, a maski towarzyskiej ogłady i kulturalnego stylu bycia mieli prawie wszyscy. Nie dziwmy się więc, że w załączonych do akt sądowych opiniach o oskarżonych z miejsc ich pracy przeczytać można to samo, powtarzające się do znudzenia zdanie: „Strona etyczno-moralna w/w nigdy nie budziła zastrzeżeń". Choć jednocześnie ta jednorodność stylistyki personalników różnych przecież instytucji może także wskazywać na dosyć mechaniczne wystawianie laurek byłym pracownikom, niekiedy zaś wzbudza podejrzenie, że pracodawca wbrew logice faktów na siłę ratuje oskarżonego. W związku ze sprawami o gwałty niejeden raz spotkaliśmy się z rozumowaniem, że oskarżony przecież nikogo nie zabił, co się stało, to się nie odstanie, a dodatkowe obciążanie człowieka, który i tak dostanie za swoje, byłoby przecież nieludzkie.

Ofiary także często zeznają: „Spotykałam się z nim, bo był zawsze w stosunku do mnie kulturalny, nigdy nie dał poznać, do czego jest zdolny". Ale ofiary to z reguły 14—15-letnie dziewczęta oglądające świat przez pryzmat pierwszej miłości, zawieszone we śnie, po którym przyszło brutalne przebudzenie.

Jeden z tych kulturalnych, uduchowionych młodzieńców wyjaśni prokuratorowi: „Przyznaje się do tego, że oni umówili swych kolegów na zaplanowana robotę, to jest na uprzednio zaplanowany gwałt". Szczerość ta pozwala, jak sądzę, wybaczyć autorowi pisemnego oświadczenia i chropawość stylu i przemilczenie własnej, niepoślednej roli w owym zdarzeniu. W innym wyznaniu przeczytamy wyraźnie: „Gwałtu dokonało 10 kolegów, wśród nich i ja".

Sprawy o gwałt są, jak wiadomo, rozpoznawane przez sądy przy drzwiach zamkniętych. Ale nawet na podstawie surowych protokołów sądowych nie ma się wątpliwości, co do stylu bycia i mentalności bandziorów na co dzień maskujących swoje prawdziwe oblicze. Występują oni bowiem niejednokrotnie w roli wzorowych synów w pocie czoła pracujących na utrzymanie chorej matki lub też przymusów szkół licealnych i zawodowych, cenionych pracowników i w ogóle porządnych ludzi. Tylko nieliczni z nich dali się wcześniej poznać z tej drugiej, prawdziwszej strony, tylko niektórych łączyły luźne zresztą kontakty ze światem przestępczym. Ale nie dajmy się zwieść pozorom. Kiedy spada maska, zostają nagie fakty i pięść.

„Dostała w twarz za to, że nie chciała dobrowolnie". To wyjątki z protokołów sądowych. I dalej: O ile któraś z dziewczyn broniła się, to bili ją, wykręcali ręce..." Albo też: „Pod groźbą noża zaprowadził mnie do swego mieszkania".

Myślę, że te wyrwane na chybił-trafił strzępy protokołów dostatecznie charakteryzują metody działania przestępców używających pseudonimów „Kujot", „Bandyta", „Miki", czasem o lirycznym zabarwieniu w rodzaju „Orfeusz" czy „Czarny Orfeusz". Ich język też był dostosowany do sytuacji, własny, techniczny, którego wyrażeń daremnie szukać w słownikach wyrazów obcych i swoiskich. Ale dla pełniejszej ilustracji dodajmy, że nie gardzili przy okazji drobnym złodziejskim łupem: rabunku wiecznego pióra z teczki uczennicy, portmonetki z zawartością 25 zł. Szczytem cynizmu wydaje się jednak żądanie, jakie sprawcy zbiorowego gwałtu postawili swojej ofierze, która broniąc się, goła ręka wybiła w mieszkaniu szybę, aby wezwać pomocy. Kazali jej bowiem ni mniej ni więcej tylko pokryć wyrządzoną szkodę, określając ją jednocześnie na 500 zł. Po długich przetargach złagodzili warunki żądając zadośćuczynienia w wysokości 150 zł. A potem, nie pytając swej ofiary o zgodę, ściągnęli jej z ręki zegarek w charakterze zastawu oczywiście, jakże by inaczej. Ten cynizm, popisywanie się jednego przed drugim i przed ofiarami, posuwanie do najskrajniejszego chamstwa, znajdowanie upodobania w zadawaniu tortur i cierpień, jest właśnie w tych sprawach najbardziej zastraszający. I oczywiście wstrząs psychiczny nieludzko poniżonych, zbrukanych dziewcząt, nierzadko jeszcze uczennic szkoły podstawowej. Wprost wierzyć się nie chce, że tylko w jednym wypadku bandzior przestraszył się wyglądu swojej ofiary i odstąpił od swego zamiaru, który z powodzeniem zrealizowali jego mniej subtelni koledzy. Raz jeden grupa zbirów przestraszyła się też krzyków torturowanej przez kilka godzin ofiary.

Aby zrozumieć całokształt klimatu, w którym wyrośli i działali odrażający przestępcy nieodzowne jest zacytowanie bardzo znamiennego dokumentu. Oto prośba rodziców pietnastu bandziorów oskarżonych o dokonanie kilku przynajmniej gwałtów na nieletnich dziewczętach, w okolicznościach, o których nawet nie można napisać, bo słowa nie chcą przejść na papier:

„W związku z toczącym się śledztwem my, rodzice oskarżonych zwracamy się z uprzejmą prośbą o niezamieszczanie notatki w prasie dotyczącej w/w sprawy jak również samych wyroków. Podanie motywujemy tym, iż jako rodzice staramy się ukryć ten fakt przed najbliższym otoczeniem, **synowie przebywając w więzieniu nie odczują potępienia ze strony ludzi.** Zaznaczamy również, że jednym z istotnych powodów jest fakt, że oskarżeni mają rodzeństwo w różnym wieku przebywające w środowiskach ludzi, którzy niejednokrotnie będą starali się złośliwymi uwagami dokuczyć im (szkoła, praca, studia). W chwili obecnej spotkaliśmy się ze zdaniem jednego z naszych dzieci „Że jeżeli będzie notatka w gazecie, to nie pójdzie do szkoły, bo boi się złośliwych uwag ze strony koleżanek i kolegów (uczeń XI klasy).

Uważamy również, że synowie nasi ponoszą dostateczną karę za swoje wybryki, a sam fakt ukazania się notatki, byłby tylko ciosem dla rodzin, które nie ponoszą winy, za to, co się stało".

Dokument ten, całkiem jednoznaczny w swojej moralnej wymowie, w zasadzie nie wymaga komentarzy. Nie wątpię, że spotka się z potępieniem naszych Czytelników, podobnie jak czyny oskarżonych, choć ich rodzice bardzo by sobie tego życzyli, aby „synowie przebywając w więzieniu nie odczuli potępienia ze strony ludzi". Bo człowiek uczciwy nie tylko potępi tych wzbytych najelementarniejszych zasad etycznych młodzieńców. Człowiek uczciwy zdziwi się prócz tego i oczywiście oburzy. Tego społecznego oburzenia i potępienia jest nam zresztą potrzeba, ba, gniewu nawet, aby zbrodnie przeciw nieletnim, zastraszonym, doprowadzonym do psychicznej ruiny dziewczętom nie uchodziły bezkarnie, aby spotkały się z odpowiednim odwetem prawa. Nawet wtedy, gdy surowa kara jest ciosem nie tylko dla sprawców przestępstwa, ale dla ich rodzin. Bo trudno się jednak zgodzić, że one „nie ponoszą winy, za to co się stało". Jest to oczywiście ten stopień winy, który nie prowadzi na ławę oskarżonych. Ale bez tolerancji i obojętności rodziców oskarżonych, w większości wypadków ich synowie zapewne nigdy nie ośmieliliby się podjąć działania, które teraz trzeba „ukrywać przed otoczeniem". Bardzo znamienna jest ta maska rodziców bandziorów, to przerzucenie odpowiedzialności na wszystkich, z wyjątkiem ich samych, ten brak cywilnej odwagi spojrzenia prawdzie w oczy. W rzeczywistości zaś ileż to razy ojciec sam przyuczał synalka do picia patykiem pisanego wina, ileż razy matka zręcznymi wybiegami ochraniała swoją latorośl przed konsekwencjami wagarów, ileż razy oboje rodzice dają swym dzieciom zastraszające przykłady chamstwa, nadużywania zaufania, dwulicowości. A teraz strach. Strach przed potępieniem społecznym. Strach przed wykryciem rodzinnego skandalu. Strach przed rozbudzeniem własnych, spóźnionych nieco wyrzutów sumienia.

Jest jeszcze inny strach, strach ofiar, że ich tragedia stanie się tajemnicą publiczną, że będą pokazywane palcami, że będą ich ścigały ciekawskie spojrzenia spragnionej sensacji publiki. Nie są to urojone bynajmniej obawy, w kilku wypadkach spotkaliśmy się właśnie z taką, zasługującą na potępienie reakcją otoczenia. Ten strach ofiar znali dobrze również przestępcy. „Piśniesz choć słówko, a wszystko rozgłosimy. Ludzie ci żyć nie dadzą" — czytamy w zeznaniach. I niekiedy ta groźba skutkowała. Dziewczyna zostawała sama ze swoim nieszczęściem, zdruzgotana, sponiewierana, wystawiona na szydercze półsłówka rozzuchwalonych bezkarnością przestępców. „Rodzicom nic nie powiedziałam, bo miałam wtedy 14 lat, bo się wstydziłam" — zeznaje pokrzywdzona po dwu latach niezasłużonej męki, bezsennych nocy, utraty radości życia. Bo gwałt, jego skutki, trwają o wiele dłużej niż pozbawienie wolności jego sprawcy. Gwałt pozostawia trwałe kalectwo psychiczne. Skutki tego kalectwa można oczywiście złagodzić, jeśli otoczenie okaże ofierze gwałtu maksimum taktu, jeśli pozwoli ofierze zapomnieć. Ale często to skrzywienie psychiczne jest nieodwracalne, często prowadzi także do skrzywienia moralnego. Przypomnijmy tu choćby pionierską w naszej literaturze prawniczej pracę Magdaleny Jasińskiej [2]) zawierającą analizę procesu społecznego wykolejenia 100 dziewcząt. Pisząc o młodocianych prostytutkach autorka stwierdza: „Blisko połowa tych dziewcząt nie zaczęła życia płciowego dobrowolnie, lecz zmuszona do tego przez dorosłych mężczyzn. To nieoczekiwane przeżycie wywarło silny wpływ na psychikę dziewczynek, z których nie wszystkie nawet biologicznie dojrzały do życia seksualnego, i pociągnęło za sobą podobne następstwa. Wkrótce po tym fakcie zaczęły one sprawiać poważne kłopoty wychowawcze".

Cytuję to, aby uświadomić konsekwencje społeczne przestępstwa z art. 204 kk, podstępne, rzadko sygnalizowane na łamach prasy. Może to uprzytomni niektórym, że można zabić osobowość człowieka nie zabijając go w znaczeniu biologicznym.

Ta sytuacja, charakterystyczna zresztą dla całego kraju, Łódź nie jest tu jakimś gorszącym wyjątkiem, zmusiła organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości do zwrócenia szczególnej uwagi na przestępstwa z art. 204 kk. Jak to wynika z cytowanej już przeze mnie analizy dokonanej przez Prokuraturę Wojewódzką dla m. Łodzi, ekscesy bandziorów karane są z całą surowością prawa, a milicja i prokuratury dokładają starań, aby ująć i postawić przed sądem wszystkich sprawców zbiorowych gwałtów. Nie jest to zresztą takie proste, gdyż organa ścigania mogą wszcząć postępowanie karne jedynie w razie wniosku pokrzywdzonej, przyrodzone poczucie wstydu powstrzymuje zaś często dziewczynę od złożenia zameldowania o przestępstwie.

Akcja ta sprawiła, że odsetek sprawców nie wykrytych zmniejszył się niemal do zera, zaś wyroki z reguły przekraczają 3 lata pozbawienia wolności, w wypadku zaś gwałtu zbiorowego zbliżają się do górnej granicy wymiaru kary przewidzianej za to przestępstwo (10 lat). Ostatnio też prokuratorzy występują w imieniu pokrzywdzonych z powództwem cywilnym przeciwko sprawcom gwałtów, domagając się od nich także zadośćuczynienia pieniężnego za cierpienia fizyczne i krzywdę moralną ofiar bandyckich ekscesów.

Ale akcja podjęta przez organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości nie wystarczy. Musi jej towarzyszyć spontaniczny społeczny odzew bezwzględnego potępienia przestępców dla których nie może być litości. Muszą się oni poczuć osaczeni ludzkim gniewem, który zerwie bandziorom z oczu maski i sprawi, że uschną ich pięści.

KONRAD FREJDLICH

[1]) **Zbigniew Błotnicki, Aleksy Burchard: „Analiza spraw o przestępstwa z art. 203 i 204 kk zawisłych w 1965 r. w Prokuraturach Powiatowych na terenie m. Łodzi" — maszynopis powielony.**

[2]) **Dr Magdalena Jasińska: „Młodociane prostytutki" w „Archiwum Kryminologii" tom II, wydawnictwo PWN, 1964 r.**

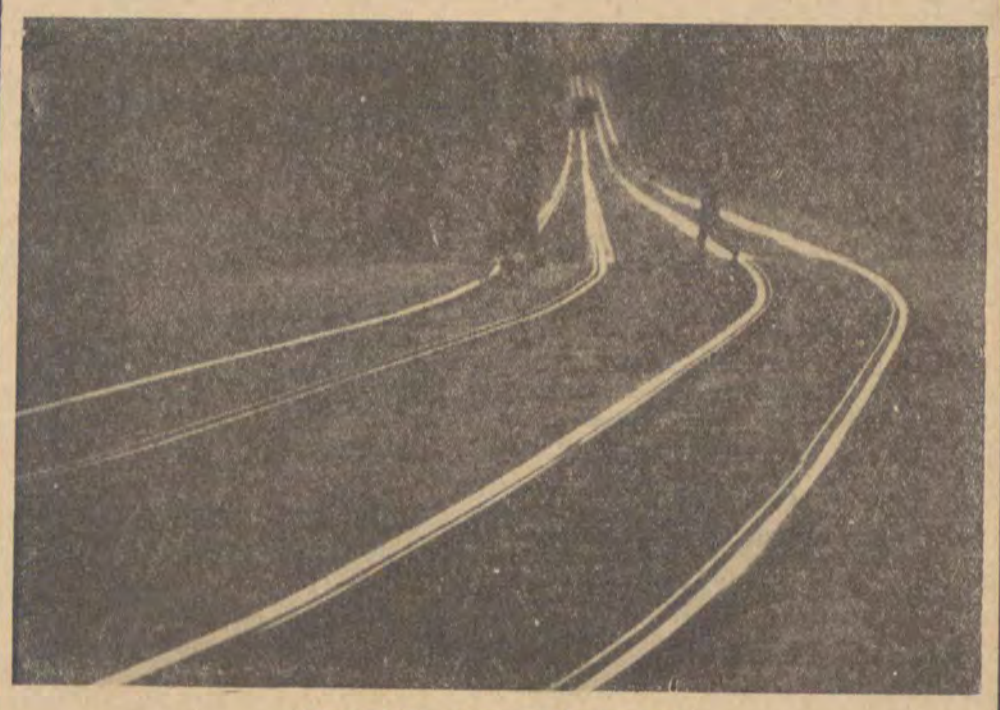

WYSTAWA FOTOGRAFIKI ŁTF

Kazimierz Janaszewski — Sztychy łódzkie.

DR ZDZISŁAW SPIERALSKI

ZAMOYSKI W MOŁDAWII

Podobno Stefan Batory zgodził się zostać królem Polski tylko dlatego, że miał nadzieję skłonić swą przybraną ojczyznę do zaczepnej wojny z Turcją. Jako gorący patriota węgierski, darzył Batory jednakową nienawiścią Habsburgów i Turków, ale jako władca niewielkiego Siedmiogrodu nie miał szans na oswobodzenie Węgier z habsburskiego jarzma.

Współdziałania z Habsburgami w ogóle nie brał w rachubę, ponieważ wiedział, że dobrowolnie nie ustąpią z Węgier. Nie chciał też kontynuować protureckiej polityki Zapolyów. Jak bowiem pokazało doświadczenie, Turcy wykorzystywali antyhabsburskie nastroje Węgrów dla własnych celów zaborczych.

Plany Batorego starał się realizować kanclerz i hetman wielki koronny, Jan Zamoyski. Kierował nim nie tylko sentyment do politycznych koncepcji zmarłego w 1586 r. króla i przyjaciela. Zamoyski był wyrazicielem interesów grupy polskiej magnaterii, posiadającej wielkie majątki na Ukrainie, a więc zainteresowanej w ekspansji państwa polskiego ku wybrzeżom Morza Czarnego. Oto główny motyw polityki czarnomorskiej Zamoyskiego. Drugim motywem była chęć położenia kresu nieustannym najazdom tatarskim — tylko złamanie potęgi tureckiej mogło umożliwić skuteczną rozprawę z Tatarami.

Zamoyski był również spadkobiercą antyhabsburskiej polityki Batorego. To on nie dopuścił Habsburgów na tron polski, przeprowadził elekcję królewicza szwedzkiego Zygmunta, pobił pod Byczyną arcyksięcia Maksymiliana, wziął go do niewoli i zmusił do zrzeczenia się wszelkich roszczeń do korony polskiej (1587—89). Zamoyski realizował antyturecką politykę bez Habsburgów. Było to o tyle trudne, że następca Batorego, fanatyczny katolik, Zygmunt III Waza, prowadził politykę wybitnie prohabsburską. Dopóki jednak żył Zamoyski, antyturecka polityka Polski była jednocześnie antyhabsburska. Zamoyski obawiając się wzrostu potęgi austriackich Habsburgów, starał się nie dopuścić, by rozszerzyli oni swoje wpływy na Siedmiogród, Mołdawię i Wołoszczyznę. Były to typowe państwa buforowe. Rozciągnięcie na nie wpływów polskich miało poważne znaczenie strategiczne, gdyż przesuwało linię obrony aż do Dunaju.

* * *

W 1589 r. Kozacy spalili tatarski Kozłów oraz turecki Oczaków, Białogród i Bendery. Wywołało to wściekłość Turków, a wielki wezyr Sijawusz-pasza parł do wojny z Polską. Na sejm warszawski (8. III.—21. IV. 1590) przybył czausz turecki i wystąpił z prowokacyjnymi żądaniami. Wojna wydawała się nieunikniona i Zamoyski wystąpił z projektem opanowania Mołdawii i Wołoszczyzny. Sejm uchwalił wysokie podatki i wyposażył kanclerza w szerokie pełnomocnictwa, a do Stambułu wyjechał sekretarz królewski Jan Zamoyski herbu Grzymała (nie był on krewnym kanclerza, który pieczętował się herbem Jelita).

Tymczasem w Turcji nastąpił upadek Sijawusza-paszy, a dyplomacja angielska starała się zapobiec wojnie polsko-tureckiej. Protestancka Anglia i sprzymierzona z nią Holandia prowadziły wojnę z katolicką Hiszpanią, gdzie panowali Habsburgowie w osobie króla Filipa II. Turcja była więc naturalnym sprzymierzeńcem Anglii, podobnie jak poprzednio Francji, gdy Franciszek I walczył z ojcem Filipa, cesarzem Karolem V. Nie byli więc Anglicy zainteresowani w uwikłanie Turcji w wojnę z Polską. Przeciwnie, obawiali się, że wojna z Turcją może pchnąć Polskę w objęcia Habsburgów, czego można było się spodziewać z powodu wyraźnie prohabsburskiej postawy króla Zygmunta. Anglikom zależało na utrzymaniu dostaw polskiego zboża do krajów walczących z Hiszpanią. — Nic więc dziwnego, że poseł angielski w Stambule, Edward Burton, pomógł Grzymalicie Zamoyskiemu w jego staraniach o odnowienie polsko-tureckiego traktatu przyjaźni. Traktat ten został odnowiony w październiku 1591 r.

Dwa miesiące przedtem Turcy osadzili w Mołdawii hospodara Arona. Jak ciężkie były jego rządy, świadczy nadany mu przez poddanych przydomek Tyrana. Nieco przedtem osadzili Turcy na Wołoszczyźnie Stefana Głuchego. Przydomek Stefana nie miał nic wspólnego z fizycznym kalectwem. Nazwano go Głuchym, ponieważ nie reagował na prośby i błagania uciskanych poddanych. Zamoyski postanowił wykorzystać panujące w Mołdawii i Wołoszczyźnie niezadowolenie, by wprowadzić tam brata Arona, Piotra i ich bratanka Aleksandra.

W czerwcu 1592 r. Aron został obalony przez swych poddanych, a Piotr udał się z Polski do Mołdawii dla objęcia tronu. Wprawdzie Mołdawianie ogłosili już hospodarem Aleksandra, ale ten ustąpił stryjowi i przeniósł się do Wołoszczyzny, na miejsce obalonego przez bojarów Stefana Głuchego.

W Mołdawii rządy Piotra trwały zaledwie trzy miesiące. Turcy bowiem w październiku osadzili tam ponownie Arona. W niespełna rok później, we wrześniu 1593 r., przepędzili także z Wołoszczyzny hospodara Aleksandra, osadzając na jego miejscu Michała Walecznego.

Wielki wezyr Sijawusz-pasza powróciwszy do władzy pokwitował na razie polską interwencję w sprawy Mołdawii i Wołoszczyzny dyplomatycznymi protestami, gdyż zdecydował się na wojnę z austriackimi Habsburgami. Wiosną 1593 r. wojska tureckie wkroczyły do habsburskiej części Węgier. Z Austrii przyszły do Polski wezwania o pomoc. Zwrócono się nawet do Zamoyskiego. Poseł cesarza Rudolfa zaklinał hetmana, by nie przepuścił Tatarów na Węgry. Zamoyski nie dał się użyć przeciwko Turkom, ale zwrócił baczną uwagę na Tatarów. Ci wyruszyli w lipcu 1594 r. na Węgry przez Mołdawię, zbaczając przez Pokucie na Ruś, gdzie dokonali wielkich zniszczeń. Zamoyski miał niewiele wojska, ale ścigał ich górskimi wąwozami, aż do granicy Siedmiogrodu. Osiągnął tyle, że przy powrocie z Węgier Tatarzy ominęli Ruś.

Tymczasem agenci habsburscy, korzystający z poparcia króla Zygmunta, działali w Polsce. Za pośrednictwem starosty śniatyńskiego, Mikołaja Jazłowieckiego, zorganizowali nieudaną wyprawę Kozaków na Białogród. Zamoyski potępił tę prowokację, gdyż był zdecydowanym przeciwnikiem wojny z Turcją, prowadzonej na rachunek Habsburgów. Jednakże na sejmie krakowskim w 1595 r. (6. II.—21. III) posłowie cesarscy zjednali poważną grupę senatorów dla projektu ligi antytureckiej. Zamoyski, dobrze zorientowany w antagonizmach dzielących państwa chrześcijańskie, nie wierzył w powstanie tej ligi. Sama idea była nie do przyjęcia, służyła bowiem wzmocnieniu potęgi austriackich Habsburgów. Zrobił więc wszystko, by sparaliżować projekt ligi na gruncie polskim, zanim jeszcze skłócone państwa zgłosiły swój brak zainteresowania cesarskim projektem.

Większe powodzenie miały zabiegi Austrii w krajach podległych Turkom. Książę siedmiogrodzki, Zygmunt Batory, i hospodar wołoski, Michał Waleczny, przeszli na stronę cesarza Rudolfa, który chcąc mocniej związać Batorego z habsburskim aljansem, przyrzekł mu Mołdawię. W kraju tym nastroje antytureckie były nie mniej silne, niż na Wołoszczyźnie, mimo to hospodar Aron pozostał wierny sułtanowi. Batory wysunął przeciwko niemu bojara Stefana Rozwana, który 3 maja 1595 r. obalił Arona i w kajdanach odesłał do Siedmiogrodu, gdzie został stracony. Rozwan jako Stefan IX został z ramienia Batorego hospodarem mołdawskim, ale nie cieszył się popularnością u swoich poddanych.

Mołdawianie dążyli do wyzwolenia z tureckiego jarzma, nie wierzyli jednak, by cel ten mogli osiągnąć w oparciu o Habsburgów. Wśród bojarów istniały dwa stronnictwa: propolskie i protureckie. Pierwsze składało się wyłącznie z bojarów miejscowego pochodzenia; wielu związanych było z Polską

PASJA XX wieku

Dalszy ciąg ze str. 1

który chyba tak trafnie i lapidarnie zarazem scharakteryzował w wywiadzie udzielonym francuskiej gazecie „Le Nouvel Observateur" jeden z radzieckich ekspertów, biorących udział w rzymskiej transakcji: „Miliony ludzi, techników i inżynierów, urzędników, zaczyna już zarabiać sporo. Często są już urządzeni i nie mają na co wydać swoich pieniędzy. Odkładają więc na książeczkę oszczędnościową. To są pieniądze dla nich nieproduktywne. Trzeba, aby ci, którzy otrzymują wysokie uposażenie, mogli je odpowiednio zużytkować. W przeciwnym razie — po co się męczyć? To nie jest zachęcające, jeśli po długich latach studiów nie można za wynagrodzenie żyć lepiej. Potrzebne są bodźce materialne...".

*

Po Związku Radzieckim, dwa dalsze kraje socjalistyczne zakupiły licencje i podpisały umowy na budowę fabryk samochodów osobowych. Uczyniły to Rumunia i Bułgaria, w obu przypadkach z francuską firmą „Renault". W Bułgarii zaczęto już nawet montować pierwsze samochody (typ „Renault-8"), a nadano im nazwę „Bulgareno". Do końca 1970 roku Bułgaria ma wyprodukować ok. 10 tys. tych samochodów.

*

— Panie, kogo na to stać?

— Policzmy: samochód średniej klasy, jednej z marek używanych w Polsce — Wartburg, Skoda MB, Fiat — łącznie z różnymi „dodatkami" kosztuje około 100 tysięcy złotych. Tyle samo co mieszkanie o 40 m kw. powierzchni — więc najbardziej popularne...

— Dylemat: kto mieszkanie, kto i czy samochód,

— Właśnie...

*

Warto się więc przyjrzeć tym obywatelom „S", którzy bądź już posiadają samochód, względnie też w możliwie krótkim czasie chcieliby posiadać swoje własne cztery kółka.

Tym problemem zajęli się już nasi socjolodzy i ekonomiści, a podawane przeze mnie liczby pochodzą z pracy Andrzeja Tymowskiego, który właśnie zwrócił uwagę na „zależności" ekonomiczne, które występują w rodzinach, bądź posiadających już samochód, względnie też odkładających na jego kupno.

Badania te wykazały, że — wbrew utartym przekonaniom — na ogół tylko niewielki odsetek posiadaczy samochodów stał się ich właścicielami poprzez nadzwyczajny jednorazowy wysiłek finansowy. W całej badanej masie występowały w zdecydowanej większości małżeństwa, których dochody miesięczne wahały się w granicach od 5 do 7 tys. zł. Należy jednak zwrócić uwagę na pewną charakterystyczną cechę wspólną dla wszystkich niemal omawianych tutaj rodzin, posiadających już samochód. Badania ankietowe wykazały, że są to już rodziny zagospodarowane, posiadające od kilku lat w pełni urządzone mieszkanie i takie udogodnienia techniczne jak: telewizor, pralka, lodówka, odkurzacz, nie mówiąc już o aparacie radiowym. Bezsporne jest więc, że samochód jest ostatnim ogniwem w zakupach dobrze sytuowanej rodziny. To stwierdzenie odnosi się zresztą nie tylko do naszego kraju, ale także do innych państw demokracji ludowej, gdzie przeprowadzono podobne badania. Należy także zwrócić uwagę na to, że wśród rodzin posiadających już samochód, zdecydowanie przeważają te, w których co najmniej dwie osoby pracują, a liczba członków rodziny nie przekracza 5 osób. We wszystkich niemal ankietach i badaniach

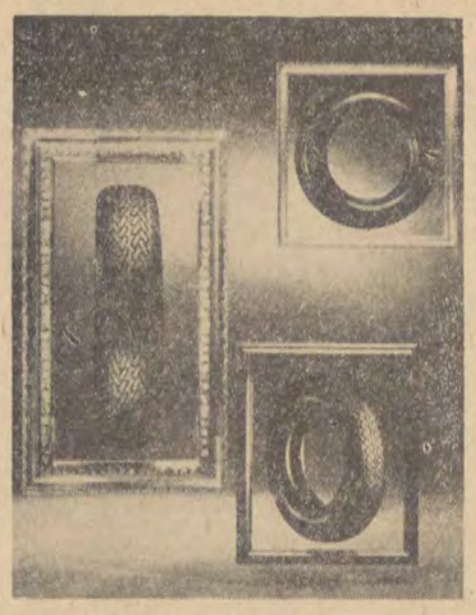

wyszło na jaw, że podstawą zakupu „czterech kółek" było systematyczne gromadzenie środków finansowych i bardzo często zakup samochodu przeprowadzany był w systemie ratalnym.

*

Największą imprezą reklamową światowego przemysłu samochodowego jest coroczny Paryski Salon Samochodowy. W tym roku brało w nim udział 1350 wystawców z 20 krajów. Zaprezentowano szereg samochodowych nowości, a m. in. Peugeot 204, Fiat-124, Volvo-144. Niektóre firmy pokazały samochody o zupełnie niekonwencjonalnych rozwiązaniach technicznych i plastycznych. Podobno w laboratoriach i biurach konstrukcyjnych trwają doświadczenia nad samochodem z elektrycznym silnikiem — a więc nad... samochodem legendą! Doświadczenia nad takim wozem prowadzi Ford i Renault.

*

Można więc śmiało twierdzić, że ten rodzaj „sprawunku" staje się w miarę poprawy stopy życiowej, zasobności społeczeństwa i uregulowania innych problemów, takich np. jak mieszkanie — jednym z głównych celów i dążeń nowoczesnej rodziny. Upatruje ona w samochodzie środek dający wypoczynek, **ułatwiający poruszanie się po kraju w okresie urlopu, co niemal wszyscy badani podkreślali w swoich wypowiedziach.**

*

— No, dobrze, kupują. Ale co potem.

— Jest takie powiedzenie: nie sztuka kupić samochód, sztuka go utrzymać!

*

Z zakupem samochodu łączy się jednak nie tylko jednorazowy duży wydatek, ale także inne zjawiska natury ekonomicznej i społecznej, które mają wpływ nie tylko na życie poszczególnej rodziny, ale także mają szerszy wpływ na strukturę zakupów, potrzeby występujące na rynku itd. Rodzina posiadająca samochód — jak to wykazały szczegółowe badania — rezygnuje bądź też ogranicza niektóre rodzaje wydatków czy zakupów. Inne znowu „pozycje" w budżecie domowym wzrastają. Wzrasta przede wszystkim koszt utrzymania i eksploatacji samych „czterech kółek", który stanowi około 10 do 15 proc. ogólnych wydatków miesięcznych zmotoryzowanej rodziny. Rodzina posiadająca samochód, jak to znowu wykazały porównania statystyczne wydaje mniej na żywność o 3 proc., na obuwie i odzież o 1,4 proc., mieszkanie o 1,4 proc., higienę i ochronę zdrowia — tutaj więcej o 0,3 proc., kulturę i sport — mniej o 0,8 proc. Spadają także wydatki na zakup alkoholu i tytoniu, komunikację.

To są dane łączne, ale w niektórych grupach czy też rodzinach mamy do czynienia ze szczególnym rodzajem wymiany jednych wydatków na inne i tak np. stwierdzono, że posiadacz samochodu wydaje w porównaniu do swojego „śpieszonego" odpowiednika tyle samo na zakup papierosów i tytoniu, ale zdecydowanie mniej na wszelkiego rodzaju trunki alkoholowe, przy czym nie jest to spowodowane tylko obawą przed magicznym działaniem „balonika". Jeżeli chodzi o żywność, to tutaj ograniczeniu ulega spożycie takich artykułów jak mięso i wędliny oraz wszelkiego rodzaju wydatki na korzystanie z usług restauracji i kawiarni. Wahanie w wydatkach na zakup odzieży i obuwia jest chyba zjawiskiem równie interesującym przy czym Andrzej Tymowski podkreśla, że można ten sam proces zauważyć wśród rodzin starających się o mieszkanie spółdzielcze i gromadzących na ten cel odpowiednie środki.

*

Najwięksi producenci samochodów na świecie to:

„General Motors"	**— 6.114**	**tys. szt.**
Ford	**— 3.753**	**„ „**
Chrysler	**— 1.810**	**„ „**
Volkswagen	**— 1.410**	**„ „**
Fiat	**— 950**	**„ „**

wszystko rocznie licząc

*

Ogólnie biorąc, posiadacz samochodu stara się pokryć dodatkowe koszty związane z bieżącą eksploatacją wozu „kompresją" swoich wydatków na żywność, na mieszkanie, na zakup mebli oraz tzw. używek. Stwierdzono, że w ten sposób pokrywa się około 37 proc. wydatków związanych z eksploatacją samochodów. Tego procesu nie lekceważą ekonomiści, gdyż ma on poważne skutki. Tak np. może spowodować ograniczenie zapotrzebowania na niektóre artykuły.

Równocześnie realność postawionego celu przez rodzinę starającą się o zakup samochodu, kumuluje przez długi okres czasu na kontach banków względnie kas oszczędnościowych poważne środki, które mogą być i są wykorzystywane przez społeczną gospodarkę dla bieżącego finansowania różnego rodzaju posunięć ekonomicznych.

*

Największą pasją XX wieku — samochodami osobowymi zajęła się stołeczna „Polityka". Postawiono sobie m. in. pytanie: kto i za co kupuje w Polsce samochód? Przodują — inżynierowie, a następnie — lekarze, ekonomiści, księgowi, urzędnicy, oficerowie, pracownicy naukowi, farmaceuci, nauczyciele. Za co? Długoletnie oszczędności (od 2 do 15 lat!) dodatkowe prace, wygrana, pomoc rodziny, wydanie pracy naukowej, oszczędności ze służbowego wyjazdu, za granicę.

— Czy nie upraszczamy całej sprawy, czy chodzi tylko o kieszeń?

— Urbaniści mówią: planowaliśmy na każdy 1000 mieszkańców osiedla — 15 garaży. Potrzeba już teraz 100.

— A stacje, dojazdy, drogi, parkingi, urbanistyka miast, które będą się rozciągać w „subarbie"...

*

Myli się jednak ten, kto uważa, że do wymienionych tutaj objawów sprowadza się proces wprowadzenia na rynek takiego towaru jakim jest samochód. Wprawdzie mamy do czynienia z rezygnacją, bądź ograniczeniem niektórych wydatków, ale powstają inne, nowe, które stawiają przed krajem dodatkowe problemy do rozwiązania. Tak np. Związek Radziecki będzie musiał zapewne w stosunkowo krótkim czasie stworzyć szeroką sieć stacji obsługi samochodów, gdyż dotychczasowa — 1250 stacji w całym kraju — jest niewystarczająca. To samo dotyczy zaplecza technicznego produkującego wszelkiego rodzaju detale oraz części zamienne. Stąd mogą się wziąć dodatkowe potrzeby o charakterze inwestycyjnym. Z drugiej jednak strony jest to także szansa dla uruchomienia i pełnego wykorzystania wszelkiego rodzaju drobnych zakładów i warsztatów rzemieślniczych, a socjologowie wskazują, że samochód ma wpływ na zmianę tzw. „intrastruktury" — przenoszenia różnego rodzaju restauracji, kawiarń, zajazdów poza obręb miasta, a nawet mamy tutaj do czynienia z lokowaniem się całych osiedli mieszkaniowych w rejonach położonych o kilkanaście kilometrów od miejskiego „city".

I jak tu mówić, że chodzi TYLKO o samochód? Cztery kółka, środek, który zbliża i łączy ludzi. Nawet czy to aby hobby? PASJA. A może FETYSZ?

KRZYSZTOF POGORZELEC

---

licznymi więzami. Przywódcą tego stronnictwa był 40-letni Jeremiasz Mohyła, wnuk hospodara. Na sejmie warszawskim w 1593 r. Jeremiasz Mohyła, jego najmłodszy brat, Szymon, i ich synowie otrzymali polski indygenat. Reprezentowane przez Mohyłów stronnictwo bojarów wierzyło w potęgę państwa polskiego i na niej opierało swe nadzieje wyzwolenia Mołdawii spod tureckiego jarzma.

Drugie stronnictwo składało się przeważnie z bojarów obcego pochodzenia. Byli to Grecy, którzy korzystając z nadań ziemskich hospodarów od dłuższego już czasu osiedlali się w Mołdawii, dochodząc do poważnych majątków i znaczenia. Turcy popierali grecką imigrację w Mołdawii, widząc wśród bojarów obcego pochodzenia najpewniejszą gwarancję swego panowania. Ale również wielu bojarów pochodzenia miejscowego reprezentowało orientację proturecką. To drugie stronnictwo składało się więc z bojarów, którzy bądź nie wierzyli w możliwość obalenia tureckiego panowania, bądź traktowali je jako gwarancję swego panowania klasowego, i sprzeciwiali się wszelkim ruchom wyzwoleńczym. W walce o Mołdawię Turcy mogli więc liczyć także na czynne poparcie miejscowych elementów bojarskich.

Po upadku Arona sułtan wyznaczył sandżakbeja Benderu, Ahmeda-paszę bejlerbejem Mołdawii. Turcy bowiem zdecydowali się na zlikwidowanie resztek samodzielności Mołdawii i na bezpośrednią aneksję tego kraju. W Polsce wywołało to duże zaniepokojenie, gdyż — jak mówiono — mołdawski Chocim, który miał przejść w ręce Turków, znajdował się zaledwie „na rzut kamienia" od polskiego Żwańca. Mikołaj Jazłowiecki sugerował królowi Zygmuntowi zajęcie Chocimia, a 26 maja 1595 r. król pisał do Zamoyskiego, że niezależnie od tego, czy będzie wojna z Turcją, czy nie, „lepiej to miejsce mieć w ręku". Upoważnił hetmana do wysłania przeciwko Turkom Kozaków i przysłał mu pieniądze na zaciąg wojska. W lipcu Zamoyski stanął pod Trembowlą z 6000 wojska. Kozacy poszli do Mołdawii, ale zostali pobici pod Benderami.

9 sierpnia przybył do obozu hetmańskiego perkułab (kasztelan) suczawski z wiadomością, że Sijawusz-pasza na czele potężnej armii tureckiej przekroczył Dunaj, w czym hospodar wołoski Michał nie mógł mu przeszkodzić. Perkułab prosił w imieniu obu hospodarów, Stefana i Michała, o pomoc przeciwko Turkom. Zamoyski znalazł się w wielkiej rozterce. Pomóc obu hospodarom znaczyło przyczynić się do ewentualnego sukcesu Habsburgów i utwierdzenia ich wpływów w Mołdawii, Wołoszczyźnie i Siedmiogrodzie. Pozostać bezczynnym było równoznaczne z ułatwieniem Turkom zgniecenia buntowników, a tym samym z pogodzeniem się z rozszerzeniem tureckich posiadłości aż do granic Rzeczypospolitej. Zastanawiał się więc hetman, co czynić, gdy 15 sierpnia przyszła wiadomość o wkroczeniu Tatarów do Mołdawii. Istniało niebezpieczeństwo, że podobnie jak w poprzednim roku zapuszczą się na Ruś. Ruszył więc hetman ze swym wojskiem ku Kamieńcowi, a w umyśle jego dojrzewała decyzja, by sprzymierzeńcom Austrii nie pomagać, ale Turków do Mołdawii nie wpuścić i osadzić tam związanego z Polską hospodara.

W drodze ku Kamieńcowi dopadł Zamoyskiego perkułab sorocki, prosząc o pomoc dla hospodara Stefana przeciwko Turkom, ale hetman poradził Stefanowi, by wycofał się do Siedmiogrodu. Zamoyski wysławszy gońca do Sijawusza-paszy z deklaracją, że pokoju z Turcją nie złamie, wkroczył 27 sierpnia do Mołdawii, prowadząc na tron Jeremiego Mohyłę. Stefan Rozwan uciekł, a węgierska załoga opuściła bez walki Chocim. 31 sierpnia stanął hetman nad Prutem pod Stepanowcami, a następnego dnia ogłoszono Mohyłę hospodarem. Przysiągł on królowi i Rzeczypospolitej „wiarę swą i stateczność, zachować, także wszelakie posłuszeństwo czynić, której przysięgi słuchał sam hetman koronny i polny (Stanisław Żółkiewski) i Herburt Szczęsny (rotmistrz) w namiocie pokojowym, nie przed wszystkimi". Nie bez powodu przysięga ta odbyła się w sposób dyskretny. Mohyła przysięgał bowiem także na tajny punkt układu, który mówił, że w wypadku wcielenia Mołdawii do Polski będzie się kontentował stanowiskiem polskiego wojewody.

Dokończył Zamoyski instalacji hospodara wkroczywszy z nim do Jass, gdzie pozostawił garnizon złożony z 300 piechurów wybranieckich. Sam stanął obozem pod Cecorą, a kasztelana halickiego Stanisława Golskiego wyprawił w 500 koni za Stefanem Rozwanem, który czekał na pomoc Batorego, by odzyskać tron. Do obozu hetmana przybył poseł od Zygmunta Batorego z prośbą pozostawienia Mołdawii Rozwanowi, ale hetman odmówił, i Rozwan uszedł przed Golskim do Siedmiogrodu. Znalazł się tam również Michał Waleczny, który mimo zwycięstwa pod Calugareni (25 VIII) musiał uchodzić przed przeważającymi siłami Turków.

Tymczasem mianowany przez sułtana bejlerbejem Mołdawii Ahmed-pasza połączył się 18 października z chanem Ghazi-Girejem i następnego dnia Turcy z Tatarami zbliżyli się ku warownemu obozowi Zamoyskiego. Hetman miał niewiele wojska (nieco ponad 6000 i kilka dział). Po dwudniowych walkach zawarto 21 października układ — Turcy zgodzili się na pozostawienie Mohyły w Mołdawii.

Zakończywszy szczęśliwie mołdawską ekspedycję, zostawił Zamoyski hospodarowi Jeremiaszowi 10 chorągwi jazdy pod dowództwem starosty kamienieckiego Jana Potockiego, a w Chocimiu działa z odpowiednią załogą. Sam wrócił do kraju z przekonaniem, że zapewnił Jeremiaszowi spokojne panowanie. Nie przypuszczał, że już po kilku tygodniach zostanie ono zagrożone przez Stefana Rozwana sprzymierzonego z Zygmuntem Batorym i cesarzem Rudolfem.

Na początku października, gdy Zamoyski gotował się pod Cecorą do walki z Ahmedem-paszą, Batory i Michał Waleczny wkroczyli z 20-tysięczną armią z Siedmiogrodu do Wołoszczyzny, zmuszając Sijawusza-paszę do odwrotu. Tym tłumaczy się wyjątkowo ustępliwa postawa Turków i Tatarów pod Cecorą. Michał Waleczny wrócił na hospodarstwo wołoskie, a w końcu listopada Stefan Rozwan wkroczył do Mołdawii z 3000 Węgrów. Potocki i hospodar Mohyła zastąpili mu drogę pod Suczawą. 12 grudnia stoczono bitwę. Wojsko mołdawskie Mohyły uciekło, ale Polacy rozbili Węgrów i wzięli Rozwana do niewoli. Nazajutrz po bitwie przyprowadzono Rozwana przed oblicze Mohyły, który rozkazał wbić go na pal.

Cesarz Rudolf i papież Klemens VIII interweniowali u króla Zygmunta, by Polacy opuścili Mohyłę i zgodzili się na oddanie Mołdawii Zygmuntowi Batoremu. Król musiał jednak liczyć się z opinią Zamoyskiego i magnatów kresowych. W 1597 r. wyjechał w poselstwie do Stambułu kasztelan Golski. Sułtan Mehmed III przyjął do wiadomości, że Polacy przywracając porządek w Mołdawii, nie naruszyli przymierza z Portą, a hospodarowie mołdawscy, których odtąd król polski będzie mianował, nie zaprzestaną składać sułtanowi należnego haraczu. Siedmiogród i Wołoszczyzna natomiast nadal miały otrzymywać władców z nominacji sułtańskiej. W grudniu tr. Ahmed-pasza pisał do Zamoyskiego, że „całe życie był jego przyjacielem, a teraz posyła mu w darze wysadzaną klejnotami buławę z nadzieją, że hetman przyjmie ją, i z życzeniem, by zawsze, gdy będzie miał ją w ręku, zdawało mu się, że widzi swego syna — paszę". Wysłany w 1598 r. do Stambułu sekretarz królewski, stronnik Zamoyskiego i uczestnik jego wyprawy mołdawskiej Jan Szczęsny Herburt, zawarł z sułtanem Mehmedem nowy traktat. Sułtan zobowiązał chana krymskiego, aby pod żadnym pozorem nie niszczył posiadłości polskich, a na wezwanie króla spieszył mu z pomocą. Ponadto zatwierdził ponownie na hospodarstwie mołdawskim Jeremiasza Mohyłę, a następstwo po nim jego synowi, pod warunkiem, że będą oni przyjaciółmi Turcji i dochowają jej wierności. W ten sposób sułtan akcentował zasadę polsko-tureckiego kondominium w Mołdawii, a w praktyce bliski związek tego państwa z Polską. Oczywiście, było to pozorne ustępstwo, podyktowane trudnym położeniem Turcji, której nie bardzo się powodziło w wojnie z Austrią. Tym niemniej panowanie Mohyły w Mołdawii, ustalone w wyniku polskiej interwencji, uzyskało mocne podstawy. Mohyła znalazł jednak groźnego konkurenta w osobie ambitnego i energicznego hospodara wołoskiego, Michała Walecznego.

IGOR SIKIRYCKI

O MIŁOŚCI i niezwykłym JUBILEUSZU

Na przełomie września i października br. w dalekiej Gruzji odbyły się uroczystości związane z osiemsetleciem urodzin poety Szota Rustawelego. Niezwykłość tego jubileuszu nie polega na tym, że całej imprezie patronowała Światowa Rada Pokoju, ani na tym, że do Tbilisi zjechali się tłumacze dzieł tego poety. Sedno rzeczy tkwi w tym, że do chwili obecnej nie udało się znaleźć żadnych konkretnych danych dotyczących daty i miejsca urodzin czy też śmierci genialnego pieśniarza. Czyżby więc pierwszy w świecie jubileusz legendy? O nie, tak nie jest, a przynajmniej niezupełnie. Wprawdzie w Gruzji, zwanej krainą poezji, i taki jubileusz, jak sądzę, mógłby chyba mieć miejsce, ale na szczęście sam Rustaweli postarał się o to, by jego twórczość nie zawisła w dziejowej próżni, w oderwaniu od dat i faktów związanych z bogatą historią narodu.

Mimo woli dopomógł Światowej Radzie Pokoju, która nie bez pewnego ryzyka ogłosiła w roku bieżącym osiemsetlecie jego urodzin i zaleciła całemu światu uczcić ten fakt w sposób jak najbardziej godny.

A jak się stało, opowiem.

Otóż zdarzało się często, a i dzisiaj nierzadko poetom się zdarza, że w ustalaniu dat jubileuszu, ktoś im pomaga. Rustawelemu pomogła miłość. Ale nie taka zwykła, przelotna, która inspiruje do napisania kilku wierszy. Była to miłość ogromna, miłość na całe długie życie, miłość na miarę nieśmiertelnego eposu. Miłość, jaka się dzisiaj nie zdarza, a jeśli tak, to bardzo rzadko, choćby z tego względu, że obiektem zainteresowań poety stała się królowa i to podobno niezwykle piękna. Zanim jednak zaczniemy się zachwycać urodą królowej Tamary, musimy sobie uświadomić, że już na parę wieków przed jej panowaniem, poeci w Gruzji pisywali pieśni i wiersze. Nie darmo Gruzinów nazywa się narodem poetów. Każdy kto był w ich pięknym kraju, uzna to za rzecz całkiem naturalną.

Rzecz jasna, że ani pieśń ani wiersz nie rodzi się w oderwaniu od kultury całego narodu. Toteż, choć Gruzja stała się na przestrzeni wieków celem najazdów Greków, Rzymian, Persów, Arabów, Turków i Mongołów, jej bohaterski naród przepojony duchem męstwa, w nieustannych bojach o zachowanie niepodległości, stworzył własną wspaniałą kulturę.

Jej najwyższy rozwój przypada na wiek dwunasty, zwany wiekiem złotym, a szczególnie na lata panowania uwielbianej nie tylko przez Rustawelego, królowej Tamary.

Jest to okres gruzińskiego Renesansu, który zbiegając się z politycznym i ekonomicznym rozkwitem kraju, wyprzedził o dwa wieki Renesans zachodnioeuropejski, w czym zresztą niemała zasługa mistrza Rustawelego.

A więc, jak powiedzieliśmy, poeta zakochany do szaleństwa w uroczej monarchini, oddaje jej serce, a wraz z nim jedno z arcydzieł światowej literatury epickiej — poemat „Witeź w tygrysiej skórze".

W dedykacji, poświęconej królowej, tak zachwyca się jej uroda:

Ronząc krwawe łzy śpiewajmy o Tamar
— królowej, której

Już niezgorszem hymny składał, teraz
nowe zabrzmią wtórem.

Pisze czernią oczu-jezior i rozchwianą
trzciną-piórem,

Pieśń, jak dzida w sercu utkwi, słuchacz
stanie się midżnurem.

Powiedziano, bym wyśpiewał na jej
cześć najsłodsze słowa,

Sławił czarne jej warkocze, długie rzęsy,
twarzy owal

I kryształy zębów lśniących, jak by
złotnik je szlifował.

Na kowadle ołowianym twardy kamień
skruszy kowal.

W kilkaset lat później Lermontow powiedział, że Tamara była „piękna jak anioł niebiański — jak demon podstępna i zła".

Komu tu wierzyć? Zaufajmy raczej rzeszy poetów — naocznych świadków, tym bardziej, że z imieniem królowej Tamary związana jest niemal cała miłosna liryka Gruzji.

Jedna rzecz natomiast nie ulega wątpliwości: przybliżona data powstania eposu „Witeź w tygrysiej skórze", ponieważ wiemy, że królowa Tamara panowała od roku 1184 do 1213, dzieło to musiało powstać w tym okresie. W taki więc sposób tegoroczny jubileusz w niemałym stopniu zawdzięcza Rustaweli królowej Tamarze.

Bądźmy jednak obiektywni i nie przypisujmy wielkich zasług królowej tym bardziej, że i bez jej udziału Rustaweli znalazł się w gronie najsławniejszych poetów świata.

Na szczególną uwagę zasługuje jego niezwykła popularność w samej Gruzji, popularność graniczącą z uwielbieniem. Wystarczy wspomnieć, że „Witeź w tygrysiej skórze" przez osiem wieków był i do chwili obecnej jest najpopularniejszym utworem literackim w tym kraju. Odpisy poematu od najdawniejszych czasów, jak rodowe skarby, przechodziły z ojca na syna, stanowiły jeden z najcenniejszych podarunków urodzinowych, ślubnych, a nierzadko zdarzało się, że odchodzącym z tego świata na ostatnią drogę wkładano do trumny pożółkłe karty „Witezia". Do chwili obecnej gruzińskie dzieci noszą imiona bohaterów eposu, a portret Rustawelego można znaleźć niemal w każdym gruzińskim domu, czy też w pasterskim szałasie na zboczach wysokich gór Kaukazu.

Trzeba też stwierdzić, że całe pokolenia gruzińskiego narodu nauczyły się myśleć kategoriami Rustawelego, tworząc z jego aforyzmów nie pisany kodeks etyki i moralności, stawiając na pierwszym planie szczytne ideały męstwa i gotowości do poświęceń dla dobra ojczyzny czy też w imię miłości lub bezinteresownej przyjaźni.

Ale i poza Gruzją epos Rustawelego cieszy się na całym świecie niemałą popularnością, o czym świadczy kilkadziesiąt jego przekładów na różne języki. W samym tylko Związku Radzieckim dzieło to wydano dotychczas osiemdziesiąt razy w siedemnastu językach narodów ZSRR o łącznym nakładzie sięgającym półtora miliona egzemplarzy.

W Polsce „Witeź w tygrysiej skórze" ukazał się po raz pierwszy w moim przekładzie w roku 1961. Nakład 15-tysięczny został wyczerpany w ciągu paru miesięcy, a po drugim, również 15-tysięcznym od dawna już nie ma śladu. Nie zamierzam tu bynajmniej streszczać fabuły eposu. Jest ona zbyt bogata i piękna, by można ją było kaleczyć uproszczeniami, ale pragnę jeszcze dodać, że właściwie wszystko co wiemy o Rustawelim, zamyka się w strofach eposu. Tak się bowiem złożyło, że poza tym jedynym utworem Rustawelego nie ocalało więcej nic.

Tak więc i w tym wypadku ostateczną wymowę ma dzieło. Dowiadujemy się z niego, że Rustaweli był na ówczesny okres człowiekiem niezwykle wykształconym. Korzystał nie tylko z najlepszych tradycji literatury dawnej i współczesnej mu Gruzji, ale wykazywał także gruntowną znajomość filozoficznej i literackiej myśli zarówno świata wschodniego jak i zachodniego. W tym miejscu właściwie można by było zakończyć krótką opowieść o Rustawelim, gdyby w ostatnich latach nie zaszły wydarzenia, które rzucają nowe światło na tajemniczą postać poety. Otóż podczas prac archeologicznych, dokonanych w latach 1951—1954 przez Biblijny Instytut Franciszkański w okolicach Betleem, natrafiono na ruiny kilku starożytnych klasztorów, wśród których znajdował się także klasztor gruziński. Nic więc dziwnego, że fakt ten wzbudził ogromne zainteresowanie wśród uczonych, zwłaszcza, że Gruzja od pierwszych dziesiątków piątego stulecia, jako kraj chrześcijański, pozostawała w ścisłym kontakcie z Ziemią Świętą. Zainteresowanie to potęgował fakt, że do dziś jeszcze krąży legenda, jakoby Rustaweli niepocieszony w swej żarliwej miłości, ostatnie lata swego życia spędził jako zakonnik w jednym z jerozolimskich klasztorów.

W roku 1964 dwaj członkowie Gruzińskiej Akademii Nauk oraz przewodniczący Związku Literatów Gruzji, Irakli Abaszydze, udali się do Izraela w celu wyjaśnienia pasionującej zagadki. Niestety władze jordańskie nie pozwoliły obywatelom radzieckim na udanie się na teren Starego Miasta w Jerozolimie. Wobec tego uczeni cały swój czas poświęcili na zbadanie Klasztoru Krzyża w Nowej Jerozolimie — stolicy Izraela. Świątynia ta bowiem miała być, według krążących wersji, miejscem pobytu, a nawet zgonu i pochowania Szota Rustawelego. I tu właśnie doszło do sensacyjnego odkrycia. Kiedy uczonym udało się, poprzez stosowanie specjalnych środków chemicznych, zdjąć farby z jednej kolumny, ujrzeli pomiędzy dwoma smukłymi figurami Maksyma Kofensjonału i Jana z Damaszku, malowidło przedstawiające gruzińskiego dostojnika, opatrzone następującym napisem: „Dla Szoty, który to namalował, niechaj Bóg mu przebaczy, amen Rustaweli".

Napis ten niedwuznacznie wskazuje, że mamy tu do czynienia z autentycznym autoportretem wielkiego poety. Uczeni nie są jednak zbyt skłonni do wydawania pochopnych orzeczeń. Po tym odkryciu nastąpiły lata żmudnych badań, które przede wszystkim muszą ustalić, czy malowidło to istotnie powstało na początku trzynastego wieku, czy też jest dziełem późniejszym a mianowicie z roku 1643, kiedy to wspomniana świątynia poddana została gruntownej renowacji.

Pobyt w Gruzji umożliwił mi zebranie dodatkowych materiałów, dotyczących życia i twórczości Szota Rustawelego, o których napiszę jednak przy innej okazji.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Millenijna poezja Chróścielewskiego

Jest w twórczości Tadeusza Chróścielewskiego, a mowa tu o jego twórczości lirycznej, pewien rys wspólny wszelkim jego dokonaniom poetyckim. Z jednej strony świadczyć o tym może jedność stylistyczna wielu jego utworów, a z drugiej — pewien jednolity krąg tematyczny pociągający poetę. Charakterystyczne dla twórczości łódzkiego pisarza jest nachylenie słowa nad sobą samym, nie będące jednak żadnym pustym eksperymentatorstwem leksykalnym czy słowotwórczym. Jest to bowiem pochylenie słowa nad swoim historycznym istnieniem, nad swoją polskością, a nawet — i tutaj potwierdzają ten fakt rusycystyczne zamiłowania poety — nad swoją słowiańskością.

Podobne potraktowanie materii słownej rzutować musi na płaszczyznę semantyczną utworów Chróścielewskiego. Wystarczy wejrzeć w spis treści ostatniego zbiorku poetyckiego tego autora [1]), aby zauważyć pewnego rodzaju historyzm zawartych tutaj wierszy. Tytuły mówią za siebie: „Kopernik i baba kamienna na olsztyńskim zamku", „Słowo do Książąt Pruskich", „Bitwa pod Lipskiem", „Pomnik Poniatowskiego nocą", „Internowanie Langiewicza", „Rembieliński i dryjada". Inne tytuły znów świadczą o tendencji integracyjnej widzenia „słowianofilskiego": „Rozmyślania w duchu Kolcowa przy kościele św. Jakuba w Olsztynie", „Cerkiew Wasyla Błażennego", „Pskowskie", itp.

Oprawa słowna wierszy Chróścielewskiego zawsze mieści się w ramach historycznego widzenia słowa, będąc jednocześnie jego historią zawsze aktualną zarówno na płaszczyźnie ewokacji lirycznej jak i w polu znaczeniowym utworów. Oto charakterystyczna stylizacja w opisie fresku w jednym z opolskich kościołów:

„I za tego zdarzenia
niezwykłą przyczyną

Wangielista na ścianie
pstruchę ma krasczyną:

Czerwień grzbietu i skrzydeł
zieloność zakrzepła —

Zasię chusta Panienki i
brzeżek rańtuszka

Jest z sutego błękitu
kraskowego brzuszka...

Twarz jej biała... bo kraska
przed czasem uciekła".

(Fresk w opolskiej krypcie)

Wiecznie dokonująca się aktualizacja historyczności oprawy słownej wierszy Chróścielewskiego implikuje stałą tendencję do podobnej aktualizacji znaczeń rzeczy przedstawianych, choćby to była mowa o ludziach żyjących niegdyś czy o faktach już historycznych. Mówi o tym expressis verbis sam poeta w jednym z najpiękniejszych liryków omawianego zbioru, w wierszu pt. „Cień malarza w mińskim parku":

„Minionych wpisujemy
w udane obrazy:
W skotopaske astralną, w nad-
prawdę majoną —
By z nóg ich zdjąć
bezmierność, a wpisać
skończoność".

Mamy tutaj nienatrętnie, w sposób delikatny, zarysowany program poetycki, program estetyczny niemal, polegający na synchronicznym widzeniu dziejów jako materiału dla twórczości własnej. Jeśli zauważymy przy tym, że poeta w podobnie synchroniczny sposób traktuje słowo jako tworzywo swoich utworów, odnajdziemy chyba najbardziej znaczącą i najbardziej istotną właściwość poezji Tadeusza Chróścielewskiego.

Ustawicznie realizujące się w wierszach łódzkiego poety uczestnictwo w historii oraz w dziejach języka pociąga za sobą częste i świadome nawiązywanie do polskiej tradycji literackiej. Spotkaliśmy się w „Pustym krześle" z kilkoma reminiscencjami Norwidowskimi, wśród których szczególną uwagę zwraca wiersz pt. „Internowanie Langiewicza" podobny do „Bema pamięci żałobnego rapsodu" zarówno pod względem tematycznym, jak i formalnym (próba heksametru polskiego). Mickiewiczowska „Redutę Ordona" przywodzi na myśl „Bitwa pod Lipskiem" — podobna do „Reduty" w sposobie obrazowania, choć różniąca się od niej w sposób zasadniczy tonacją uczuciową. Można by tu wskazać jeszcze kilka innych nawiązań autora do takich poetów, jak Słowacki, Gałczyński czy Tuwim, ale nie chodzi nam przecież o pisanie studium „wpływologicznego". Wskazując na te przypomnienia, jeszcze raz chcemy podkreślić niezwykle konsekwentną świadomość kulturową Chróścielewskiego, świadomość tradycji i swojego w niej zakorzenienia. Czas obiektywny jest bowiem dla Chróścielewskiego „czasem anachronicznym", „czasem, co nie zna godzin"; imperfectum jest wiecznie obecny w praesens, książę Józef prowadzi do walki powstańców warszawskich z r. 1944, a fikcyjne postacie literackie spacerują po dzisiejszym Krakowskim Przedmieściu.

„Czas w ręku człowieka
współpłynie z zaczasem" —
mówi Chróścielewski w swoich,
niezwykle aktualnych
podczas obchodów millenijnych,
wierszach.

[1]) Tadeusz Chróścielewski: „Puste krzesło", Łódź 1966, Wydawnictwo Łódzkie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Konstanty Stajniak — TECHNOLOGIA DZIEWIARSTWA, Wyd. PLiS, cena zł 54.—

Kazimierz Tetmajer — LEGENDA TATR, WL, cena zł 26.—

KRYTYCY PRZY OKRĄGŁYM STOLE, AF, cena zł 30.—

ANTOLOGIA POLSKA 1914-1939, Czyt., cena zł 50.—

John Steinbeck — PASTWISKA NIEBIESKIE, Czyt., cena zł 18.—

J. Charzyński — E. Kosiba — ANALIZA TECHNICZNA W PRZEMYŚLE MIĘSNYM, Wyd. Przemysłu Lekkiego i Sp., cena zł 16.—

W 1966 ROKU MINĘŁA 50 ROCZNICA ŚMIERCI KLASYKA LITERATURY ŻYDOWSKIEJ

SZOLEM ALEJCHEM

TRZY GŁÓWKI

Te trzy prześliczne główki: Abramczyk, Mojsiejczyk i Dworka — to dwoje braciszków i mała siostrzyczka. Ojciec — introligator nadał im te zdrobniałe, z lekka na rosyjską modłę urobione imiona. Gdyby się nie wstydził swej zacnej połowicy, a sam nie był wierutnym Łazarzem, przeinaczyłby i swoje imię „Pejsi — introligator" na Petkę — pereplotczyka". Tylko z obawy przed swą małżonką Pesią i w obliczu swego — pożal się Boże! ubóstwa, z ciężkim sercem pozostał przy swoim starym imieniu: w oczekiwaniu owych błogich czasów, kiedy wszystko na świecie się przeinaczy — jak przepowiedział Bebel, jak przepowiedział Marks i jak przepowiedzieli inni dobrzy i rozumni ludzie. Wtedy, o wtedy wszystko zmieni się na lepsze!... Ale póki nadejdą owe błogie czasy, trzeba od świtu do późnej nocy stać na nogach, wycinać arkusze kartonu, kleić skrzynki, pudełka... I Pejsi — introligator dzień caluteńki stoi na swoich umęczonych nogach, wycina arkusze kartonu i klei pudełka — nucąc podczas pracy stare i nowe, żydowskie i nieżydowskie piosenki, takie wesoło-smętne na wesoło-smętną melodię...

A żona zrzędzi:

— Przestałbyś już wyśpiewywać swoje sprośności! Człowiek zakochał się po uszy w obcych piosenkach... Odkąd sprowadziliśmy się do wielkiego miasta, stał się zupełnym niedowiarkiem, ulituj się, Panie!...

* * *

Wszyscy troje, Abramczyk, Mojsiejczyk i Dworka, urodzili się i wyrośli w zakątku między ścianą a piecem. Wszyscy troje widzą przed sobą dzień w dzień jedno i to samo: dobrodusznego ojca, który wycina kartony, lepi pudełka i nuci przy tym swoje wesoło-smętne piosenki — i wiecznie stroskaną, zasuszoną matkę, co to krząta się obok kuchni, zamiata i pierze, zwija się jak mucha w ukropie, bez końca, bez końca... Oboje pracują niezmordowanie: matka przy kuchni, ojciec przy pudełkach. I dla kogo są te pudełka, komu są potrzebne? Nie inaczej, cały świat pełen jest pudełek.. Tak rozmyślają nasze prześliczne trzy główki i z utęsknieniem wyczekują dnia, kiedy u taty nabierze się mnóstwo, całe mnóstwo pudełek — kto wie, może okrągły tysiąc? — a tata włoży je na głowę, część weźmie na ręce i odejdzie z nimi, hen, na rynek. I wróci po pewnym czasie, już bez pudełek — matce odda pieniądze, a dzieciakom przyniesie bułeczki, precelki, łakocie... Oj, dobry to ojczulek! I mamą dobra, choć zawsze czegoś zła. Często szturchańcem obdzieli, zamierzy się kułakiem, uszu natrze. Nienawidzi — powiada — „śmietnika". Nie życzy sobie, aby dzieci bawiły się w „dorosłych". Aby Abramczyk wycinał pozostałości kartonów, by Mojsiejczyk babrał się w kleju ojcowskim, a Dworka wypiekała kołacze z piasku. Mama chce, aby dzieci siedziały cicho, statecznie. Mama nie wie, że młode główki myślą nieustannie, że młode serduszka rwą się i rwą — dokąd? Na ulicę, ku światłu! Do okna! Do okna!

* * *

Jedno okno zaledwie — rzec można: kawałek okna. O ten kawałek wadza się stale trzy nasze kędzierzawe główki. I co widać za oknem? Ścianę. Wysoką, ponurą, wilgotną ścianę. Zawsze — ba, nawet latem — ocieka ona wilgocią. Pewno i tam dochodzi słońce. Ściślej mówiąc, nie słońce, lecz jeden jego promyczek. Dla dzieciaków — niebywałe to święto! Trzy nasze prześliczne główki tłoczą się u okna i spozierają w górę. Wysoko, bardzo wysoko nad oknem pojawia się wąski, błękitny pasek.

— O, o, widzicie dzieci? To niebo!

Tak powiada Abramczyk. A Abramczyk wie wszystko. Abramczyk uczęszcza już do chederu. Abramczyk wie na przykład, że drzewo rośnie. Prawda, on sam nie widział jeszcze drzew. Ale wie na pewno (wszak słyszał o tym w chederze!), że na drzewie rosną owoce — i dlatego mówi się w modlitwie: „... któryś stworzył owoc drzewa". Abramczyk wie również, że ziemniaki, ogórki, cebula i czosnek rosną w ziemi — i dlatego właśnie mówi się w modlitwie: „któryś stworzył owoc ziemi"... Abramczyk nie wie tylko gdzie i jak one rosną, bo nigdy ich nie oglądał, bo przy ich uliczce nie ma pól, nie ma drzew, nie ma ogrodów, nie ma ani źdźbła trawki. Wzdłuż ich uliczki stoją tylko potężne mury, szare ściany, wysokie, dymiące kominy — a w ścianach tysiące okienek i maszyny, które poruszają się bez ludzkich rąk — a poza tym nic i nic!

Nawet ptak zagląda tu rzadko. Zabłądzi co najwyżej wróbelek, sam szary jak ściana domu. Otrze dziobek o szare kamienie, podniesie się i uleci... A drób oglądają dzieci od czasu do czasu, w sobotę, w postaci chuderlawego kurczęcia z bladą, mizernie wyciągniętą nóżką. Ile nóg ma kurczę? Rozumie się, cztery. Jak koń. Tak twierdzi Abramczyk, a Abramczyk wie wszystko. Urodzone i wyrosłe w szarych murach wielkiego miasta dzieci te nigdy nie oglądały żywego drobiu, bydła, zwierzęcia — z wyjątkiem kotki. A kotkę mają własną, żywą, burą — barwą sierści przypominającą szare domy uliczki. Z tą kotką bawią się, obwiązują jej główkę chustką, nazywają „kumeszką"... Ujrzy to matka: szturchańcem obdzieli, zamierzy się kułakiem. Dzieci rozpełzną się, przykucną za piecem i słuchają słów Abramczyka. A Abramczyk powiada: słusznie postępuje mama! Nie należy bawić się z kotką. Bowiem kotka stworzenie nieczyste, czarownica...

* * *

O wszystkim opowiada Abramczyk, nawet o tym, co dzieje się na „tamtym świecie". Opowiada na przykład, że tam jest raj... Że rosną tam drzewa, a na nich najwspanialsze owoce. Że płyną tam rzeki czystej przezroczystej oliwy. Diamenty i brylanty walają się pod nogami — tylko pochyl się i napchaj nimi kieszenie! A Żydzi nabożni siedzą tam we dnie i w nocy nad księgami mędrców i napawają się majestatem Bożym...

A w Zielone Świątki otwiera się niebo... Szkoda, że u nich nie ma nieba! Jest tylko wąski, błękitny pasek nad ścianą. I cóż tam zobaczysz, z wyjątkiem dwóch, trzech mizernych gwiazdek i księżycowej poświaty?.. Aby przekonać rodzeństwo o prawdzie swoich słów, Abramczyk podchodzi do matki i ciągnie ją za suknię:

— Mamo, prawda, że dziś w Zielone Święta o północy otwiera się niebo?

— Głowę ci otworzę, nicponiu!

Otrzymawszy taką reprymendę Abramczyk zaszywa się w kąt i czeka na ojca. A ojciec udał się na rynek z całym skarbem kartonowych pudełek.

— Dzieci, zgadnijcie, co nam dziś tata przyniesie z rynku?

Tak mówi Abramczyk i dzieci zaczynają odgadywać. Wyliczają na palcach wszystko, co tylko znaleźć można na rynku, co dojrzy oko ludzkie i czego może pożądać dziecięce serduszko. Nie odgadły... I wy, obawiam się, też nie odgadniecie. Bo Pejsi — introligator tym razem nie przyniósł precelków ani łakoci. Przyniósł trawkę — całą wiązkę zielonej pachnącej trawki...

W mig trzy nasze prześliczne główki otoczyły ojca:

— Tata, co to jest?

— To zieleń.

— Co to znaczy: zieleń?

— Zieleń na święta. Żydzi w tych dniach świątecznych muszą mieć zieleń.

— A skąd się ona bierze, ojcze?

— Skąd ona się bierze? Hm... Kupuje się ją na rynku.

Rzekłszy to ojciec rozsypuje trawkę po czystej, niedawno zamiecionej izbie i powiada filuternie do matki:

— Wesołych świąt, Pesia!

— Wielkie szczęście — nowy „śmietnik" dla łobuziaków!

Dziwna ta matka! Nigdy niekontenta, wiecznie zasępiona, wiecznie zatroskana, żywe przeciwieństwo wesołego ojca.

I trzy główki dziecięce patrzą na matkę, patrzą na ojca, przyglądają się sobie. A kiedy rodzice odwracają się na chwileczkę, dzieciaki rzucają się na ziemię, przypadają twarzyczkami do gliny i całują pachnącą trawkę, co się zowie „zielenia"...

Wszystko, wszyściuteńko można nabyć na rynku. Wszystko kupuje ojciec, wszystko mają Żydzi... Nawet zieleń! Nawet — zieleń!...

Przekład HORACEGO SAFRINA

Rys. M. Kapuścińska

ANDRZEJ GRUN

CHRONIMY „INNYCH"

Konkurs ten był szóstym z kolei i tak jak pięć poprzednich, obejmował malarstwo, grafikę i rzeźbę. Temat konkursu brzmiał: „Człowiek w czasie pracy, wypoczynku i rozrywki", a udział w nim mogli brać tylko plastycy-amatorzy. Ponieważ jurorzy wydali już swoje werdykty, ponieważ wręczone zostały nagrody, zorganizowana wystawa prac i starannie wydany katalog, ponieważ wreszcie ruchowi amatorskiemu i samym plastykom-amatorom poświęca się u nas wiele uwagi a także pewne (całkiem poważne) sumy pieniężne — należy się słów kilka na ten temat.

Zacznijmy może od historii samej inicjatywy i historii konkursu. Otóż rzecz cała zrodziła się w roku 1959 wśród pracowników Działu Naukowo-Oświatowego łódzkiego Muzeum Sztuki. Szukano atrakcyjnego sposobu zaktywizowania i jak najszerszego upowszechnienia plastycznego ruchu amatorskiego na terenie Łodzi i województwa. O istnieniu ludzi, którzy malarstwem czy rzeźbą parają się „od święta" wiedziano od dawna. Nie istniały natomiast żadne formy, które by tych niedzielnych twórców zbliżyły do siebie, zdopingowały — w sensie moralnym oczywiście — do dalszej pracy nad rozwojem swojego talentu, ukazały ich dorobek szerszej publiczności. Powstał więc między innymi pomysł zorganizowania prawdziwego konkursu z prawdziwymi nagrodami dla amatorów. Imprezą taką, której patronowały Wydziały Kultury Rad Narodowych Łodzi i Województwa, redakcja „Dziennika Łódzkiego" oraz Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych odbyła się jeszcze tegoż roku i plon jaki przyniosła przerósł najśmielsze oczekiwania. 2795 prac! 314 uczestników! Wiek od 16 do 80 lat. Oczywiście, że nadesłane prace były szalenie zróżnicowane tak co do samej tematyki jak i poziomu artystycznego, ale te fakty w danej chwili usuwały się na plan dalszy. Plastycy-amatorzy zostali niejako poruszeni i zmobilizowani do aktywnego działania. Ogromna większość po raz pierwszy wystąpiła ze swoim dorobkiem publicznie. Nastąpił ów najistotniejszy moment konfrontacji i wzajemnego poznania. A także, co wydaje się nie być bez znaczenia, znaleziono bardziej właściwą formę propagowania samego ruchu amatorskiego.

Dalsze losy konkursu i samego ruchu amatorskiego wykazały w pełni słuszność podjętej inicjatywy. Zaostrzone zostały warunki. Każdy nowy przegląd nadsyłanych prac odznaczał się wyższym, ogólnym poziomem artystycznym. Uformowała się czołówka twórców z roku na rok legitymująca się coraz to poważniejszymi osiągnięciami. Nazwiska Adamiec, Rząb, Korpa, Ksoll, Komornicki, Borowik pojawiały się jako nazwiska laureatów niemal na każdym konkursie. Powstał wreszcie Klub Plastyków Amatorów przy Stowarzyszeniu Przyjaciół Sztuk Pięknych, którego działalności łódzki ruch amatorski wiele zawdzięcza. Tyle co do chwalebnej historii imprezy, pomówmy teraz o innych sprawach z tym wszystkim związanych. Tegoroczny, szósty konkurs przyniósł równie obfity co różnorodny plon, który jednak dla wnikliwego obserwatora może stać się źródłem wielu refleksji, nie zawsze pozytywnej natury. O społecznym znaczeniu wszystkich rodzajów ruchu amatorskiego, o wychowawczej funkcji sztuki we wszystkich jej odmianach, wreszcie o aktywnym uczestnictwie nie tylko w tworzeniu kultury pisano i mówiono wiele razy. Sprawa jest jasna, i oczywista i można ją chwilowo odłożyć ad acta. Problemem stają się (jak zawsze zresztą) poszczególni ludzie, poszczególni twórcy. Bo zastanówmy się przez moment, kim są ci „niedzielni malarze", ci „amatorzy, dyletanci", „naiwni realiści", „prymitywi" — czy jak ich tam już nie nazywano. Kim są ci „nieudolni towarzysze wielkiej sztuki", jak ich określa Aleksander Jackowski. Ta najostatniejsza arjergarda awangardy. Ci „inni", bez akademickiego wykształcenia, bez studiów artystycznych, obozujący biwakiem na dalekich peryferiach ZAWODOWEJ TWÓRCZOŚCI I WIELKIEJ SZTUKI PROFESJONALNEJ, idący za własnym instynktem, ulegający wewnętrznej, wielkiej i czystej (bo bezinteresownej między innymi) potrzebie tworzenia. Istnieli zawsze na marginesie, pogardzani i niedoceniani, odkrył i docenił ich dopiero nasz wiek. Odkrył ich inność, spontaniczność, szczerość i odwagę. Zafascynował się stwarzanymi przez nich światami i sytuacjami formalnymi. Podniósł do rangi współuczestników i zaprosił do wspólnego stołu. Rekrutują się ze wszystkich środowisk. Często nie posiadają nawet podstawowego wykształcenia. Talent ich — twórcza pasja przejawia się czasami w dzieciństwie, częściej w latach dojrzałych, czy nawet w późnej starości, po zaniechaniu obowiązków zawodowych. U podstaw twórczych poczynań leży czasem niedosyt własnego życia, wyobcowanie, samotność, przeżyta tragedia, choroba psychiczna, kalectwo — i wtedy sztuka jest ucieczką albo zadośćuczynieniem, jedyną wreszcie prawdziwą miłością. Kiedy indziej motorem jest przeciwnie — radość i ludzkie zadowolenie z życia, chęć wyśpiewania pochwalnego hymnu. Zawsze jednak, niezależnie od powodów, odnajdujemy w tych samoistnych światach pierwiastki moralizatorskie, aspekty natury etycznej. Jak w baśni ludowej znamiona pewnych, stałych praw moralnych, określonego porządku, proporcji między dobrem a złem. I pomijając stronę formalną, która często szokuje nawet twórców — profesjonalistów (a może szokuje przede wszystkim profesjonalistów), właśnie w płaszczyznach treściowo-filozoficznych leżą największe wartości sztuki tych „innych". Oczywiście, że rozpiętość talentów jest, jak w każdej innej dziedzinie zresztą, ogromna. Mają oni swoich geniuszy i swoich pacykarzy. Dlatego zastrzegam się przed jednym. Mówiąc o „innych" mam na myśli tylko tych, dla których tworzenie jest koniecznością, najszczerszą spowiedzią, a nie tych, co malują kwiatuszki dla cioci, „kossaki" z pocztówek — czy „podobniutkie — takie — jak żywe" główki. Jedni z drugimi nie mają nic wspólnego.

Zwiedzając wystawę pokonkursową trochę przeraził mnie panujący tam przysłowiowy groch z kapustą. Bo pospołu popowieszano i jednych i drugich. Obok kilku autentycznych, samorodnych twórców znalazło się tam wielu, bardzo wielu z tej reszty, która tak między bogiem a prawdą, nikogo poza ciocią obchodzić nie powinna. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Wiem, że to konkurs dla wszystkich plastyków-amatorów, ale obowiązkiem piszącego podobny artykuł jest zwrócić uwagę na te czy inne sprawy, wypunktować momenty najważniejsze, jeżeli zajdzie potrzeba — udzielić odpowiednich wyjaśnień czy informacji. Dlatego mówiłem o „innych", bo Korpa, Rząb czy Łazikowski są dla mnie „innymi", autentycznymi twórcami i dla nich właśnie warto pofatygować się na wystawę. Dlatego nie będę mówił o Ksollu, bo on już swoją sztukę „ucywilizował" i jego obecność na wystawie jest obecnością człowieka ubranego w dobrze skrojony garnitur wśród nagich.

Zbigniew Starowicz — Tacyśmy obaj już starzy — Rysunek.

Ale na wystawie zaniepokoiło mnie o wiele bardziej serio co innego, a mianowicie kwestia eksploatacji talentów przez Cepelię. Czasami ta instytucja skądinąd bardzo przydatna, przypomina mi — przepraszam za określenie — wampira wysysającego wszystkie soki żywotne z wielu samorodnych artystów. Bo oto widzę na wystawie rzeźby (nagrodzone i nie nagrodzone) i oglądam te same rzeźby, dosłownie te same — w witrynie sklepu cepeliowskiego. Twórczość więc czy wytwórczość? Jeżeli wytwórczość, to nie amatorstwo, a rzemiosło. Powie ktoś, że Cepelia to jakiś tam rodzaj mecenatu, opieki. Istotnie. Ale mecenatu, który przynosi więcej szkody niż pożytku, zmusza bowiem do produkcji taśmowej dzieł sztuki, które automatycznie przestają mieć ze sztuką cokolwiek wspólnego. Gdyby Cepelia założyła, że każda rzeźba kupiona od ludowego czy niedzielnego artysty musi być inna, oryginalna, wszystko mogłoby być w porządku. Lecz Cepelia to handel, a handel to handel (chociaż ubiera się czasem w szacowny strój MECENASA)! I tak człowiek, który zaczął rzeźbić dla siebie, musi dziś obsłużyć Polskę i kawałek Ameryki. Nie przynosi szkody Cepelia, tym, co w drzewie wycinają stylizowane łyżki, produkują siwaki czy pseudoludowe meble, przeciwnie. Jeżeli jednak wyciąga swoją rękę (jakże miło i kuszaco szeleszczą w niej banknoty) po któregoś z tych „innych", powinien zerwać się wicher i powinny bić pioruny.

Problem zasygnalizowałem tylko. Jest on równie istotny, co skomplikowany. Jeżeli kupować — to jak? Jeżeli popierać i pomagać — to jak? I kto? Rozwiązanie wymaga tyleż taktu co zdrowego rozsądku. Bo jeżdżąc po różnych ludowych artystach, oglądając wystawy amatorów, prymitywów, wystawy cepeliowskich sklepów nabieram przekonania, że hasło — „chrońmy innych" staje się z dnia na dzień aktualniejsze. Coś się tu bowiem pomieszało.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

AKTORZY POD WODĄ

■ „Aventuriers" — to film realizowany przez Roberta Enrico według powieści José Giovanniego. Wystąpi w tym filmie tylko jedna kobieta, a film nie będzie miał akcji miłosnej. Jego tematem są przygody poszukiwaczy podmorskiego skarbu. Na razie aktorzy Alain Delon i piękna Kanadyjka Johanna Shimkus muszą codziennie spędzać po sześć godzin pod wodą.

STENDHAL NALEŻY DO CAŁEGO ŚWIATA

■ W roku 1850, a więc w osiem lat po śmierci Stendhala, Mérimée wspominając w gronie swych przyjaciół swego zmarłego przyjaciela Stendhala zawołał, wznosząc ręce ku niebu: „Nikt nie może z całą pewnością powiedzieć z jakimi ludźmi się widywał, jakie napisał książki, dokąd podróżował". Od czasu gdy Mérimée wypowiedział te słowa, wiedza o Stendhalu poczyniła znaczne postępy. Kult pisarstwa Stendhala sięgnął daleko poza granice Francji, uczeni zbadali jego dzieła, poznali jego życie, wiedzą dokąd podróżował, poznali jego przyjaciół, przestudiowali jego korespondencję, znają jego psychikę i jego bohaterów powieściowych, jego poglądy na twórczość literacką, na miłość. Znają też jego dziwactwa, zamiłowanie do tajemniczości, używania pseudonimów i jego drobne plagiaty. Dziś jest oczywistym, że Stendhal jest jednym z największych pisarzy francuskich, sławnym na całym świecie.

Niedawno odbył się pod patronatem UNESCO międzynarodowy kongres ku czci Stendhala, zorganizowany przez Towarzystwo Przyjaciół Stendhala. Wiele krajów przysłało na ten kongres swych przedstawicieli: Włochy, Hiszpania, Rumunia, ZSRR, Polska, Grecja, Anglia, Japonia. Przed posiedzeniami naukowymi w ramach uroczystości kongresowych, złożono kwiaty na grobie Stendhala na cmentarzu Montmartre'u. Odsłonięto tablicę pamiątkową przy ulicy Richelieu nr 6, gdzie pisarz mieszkał w czasie swego pobytu w Paryżu w latach 1822 i 1823 i gdzie pisał „Czerwone i czarne".

CZY PUSZKIN BYŁ BRZYDKI?

■ Wielki poeta rosyjski Aleksander Siergiejewicz Puszkin uważał się za niesłychanie brzydkiego. Czy miał rację to inna sprawa, faktem jest, że wszystkie jego portrety były „upiększane". Jean-Louis Backès wspomina w swojej książce pt. „Puszkin o sobie", że poeta nie zgodził się gdy chciano wyrzeźbić jego popiersie, twierdząc, że nie chce, aby jego brzydota została uwieczniona.

BALLADA WIĘZIENNA OSCARA WILDE'A

■ Niedawno telewizja francuska przedstawiła „Ballade więzienna z Reading" pióra Oscara Wilde'a. Ballade tę napisał Wilde w więzieniu dla upamiętnienia tragicznego losu żołnierza straży królewskiej skazanego na śmierć przez powieszenie, za zabójstwo żony, którą kochał. Utworowi temu autor chciał nadać szerszy i głębszy sens przedstawiając losy człowieka zmuszonego przez los do niszczenia tego, co całym sercem ukochał. Ballada została wydana drukiem po raz pierwszy bez nazwiska autora w roku 1898.

SETNA ROCZNICA URODZIN H. G. WELLSA

■ Mija sto lat od urodzin wybitnego pisarza angielskiego Herberta George Wellsa. Urodził się w dniu 21. 9. 1866 roku w Bromley pod Londynem, w biednej rodzinie. W roku 1888 Wells zdobywa dyplom na londyńskim uniwersytecie i pracuje jako nauczyciel biologii. Zachęcony sukcesami literackimi Jules Verne'a, postanawia wykorzystać dla pisarstwa swoją wiedzę. Od roku 1893 pisze książki z początku oparte o wiadomości techniczno-naukowe, następnie interesują go problemy społecznych utopii („The Time Machine"). Spośród 64 dzieł jakie pozostawił umierając w roku 1946 do najbardziej znanych należą: „The Invisible Man" (Niewidzialny człowiek), „The War of the Worlds" (Wojna światów) i „The First Men in the Moon" (Pierwsi ludzie na księżycu).

ŚMIERĆ WYDAWCY

■ W wieku lat 83 zmarł wybitny wydawca paryski Raymond Gallimard. Wraz z bratem Gastonem był twórcą bardzo znanego wydawnictwa. Był przyjacielem Saint-Exupéry'ego. Kilka lat temu ciężko przeżył stratę syna, który zginął w wypadku samochodowym, razem z Albertem Camusem.

ARMAND SALACROU — ALPINISTA

■ Blisko w dwadzieścia lat po wystawieniu w Paryżu sztuki Salacrou pt. „L'archipel Lenoir" (Archipelag Lenoir) zostanie ona wystawiona po raz pierwszy w Londynie. Będzie tu miała tytuł „Never Say Die" a przetłumaczona została przez Robin Rooka. Ta dość znana, jedna z najlepszych sztuk Salacrou, jest ostra i gorzka satyra na przedwojenną drobnoburżuazyjną rodzinę.

Salacrou liczy sobie 67 lat i mieszka w Paryżu. Urodzony w Hawrze w roku 1899, przybywa następnie do stolicy Francji, gdzie rozpoczyna studia medyczne. Przerywa je i kończy potem studia prawnicze i filozoficzne. Początkowo pracuje jako dziennikarz. Zbliża się w tym czasie do pisarzy nadrealistów i zaczyna sam pisywać sztuki sceniczne. Równocześnie dorabia się, umieściwszy swe oszczędności w dobrze prosperującym przedsiębiorstwie reklamowym. Osiąga znaczny sukces pisarski wystawiając sztukę „Atlas-Hotel" (1931). Wkrótce daje się poznać jako dramaturg umiejący wnikliwie dojrzeć cechy współczesnego mu społeczeństwa, porusza też zagadnienia ogólniejsze, jak los człowieka i losy ludzkości („Mężczyzna taki jak inni", „Ziemia jest okrągła"). Pisze następnie szereg sztuk o tematyce obyczajowej, czerpiąc nie raz z doświadczeń teatru bulwarowego. Z tego typu sztuk najbardziej znana jest „Historia śmiechu". Charakteryzuje ją prosty i naturalny styl, żywość akcji. Wydaje też książkę pt. „Notes sur le théâtre" (Uwagi o teatrze) na podstawie prowadzonych w latach 1930—1943 uwag i rozmyślań o sztuce teatralnej.

Niedawno w jego mieszkaniu w Paryżu w pobliżu Łuku Triumfalnego odwiedził go reporter dziennika „Le Figaro". Dziennikarz spodziewał się, że zastanie zgrzybiałego staruszka, tymczasem znalazł się przed mężczyzną wyglądającym zdumiewająco młodo. Salacrou oznajmił reporterowi, że właśnie przed chwilą wrócił swym sportowym autem od rodziców, z którymi jadł śniadanie. Na zapytanie dziennikarza, nad czym dramaturg obecnie pracuje, Salacrou odpowiedział, że pisze na zamówienie Anglików autobiografię. „Sądzę, że to od bardzo długiego czasu najlepsza rzecz jaka robię" — dodał. Jakie pisarz ma plany na przyszłość? Jak to czyni od wielu lat, wybiera się znowu w Alpy. I zdumionego tym oświadczeniem dziennikarza poprosił do salonu, aby mu z dumą pokazać swój „certificat d'ascension du Mont Blanc" (świadectwo wspinaczki na Mont Blanc). Na podobną wspinaczkę blisko 70-letni Salacrou wybiera się również i w przyszłym roku.

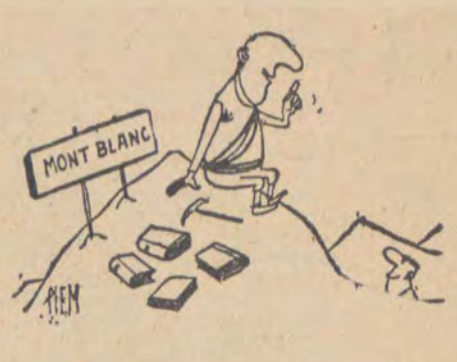

— To stąd płyną me górnolotne słowa

DAR PICASSA DLA MIASTA CHICAGO

■ Picasso ofiarował miastu Chicago dar w postaci modelu abstrakcyjnej rzeźby przypominającej swym wyglądem ptaka, lub jak chcą niektórzy, głowę kobiecą. Rzeźba będzie miała wysokość około 16 metrów, zostanie ustawiona na granitowym cokole o wysokości 6—9 metrów i będzie zdobiła plac przed budynkiem chicagowskiego ratusza, który jest drapaczem chmur o 31 piętrach. Konstrukcja i zainstalowanie rzeźby kosztować będą 300 tysięcy dolarów, które wydatkuje chicagowski Instytut Sztuki i trzy inne fundacje.

POLONICA

O POLSKICH REŻYSERACH

Ostatnio w wydawnictwie zachodnioniemieckim (Carl Schünemann Verlag Bremen) ukazał się podręcznik pt. „Reżyseria idee i praktyka nowoczesnej pracy teatralnej", który poza częścią teoretyczną zawiera obszerny leksykon z sylwetkami najwybitniejszych reżyserów i reformatorów teatru europejskiego, którzy działali od przełomu wieku aż po czasy współczesne. Znalazła się w nim liczna grupa polskich ludzi teatru, w porządku alfabetycznym następującym: E. Axer A. Bardini, B. Dąbrowski, K. Dejmek, I. Gall, W. Horzyca, S. Jaracz, B. Korzeniewski, W. Krasnowiecki, J. Krasowski, J. Kreczmar, W. Laskowska, J. Osterwa, T. Pawlikowski, L. René, J. Rotbaum, L. Schiller, K. Skuszanka, K. Świnarski, H. Szletyński, T. Trzciński, A. Węgierko, E. Wiercliński, St. Wyspiański, L. Zamkow i A. Zelwerowicz. Nie wyrażamy wprawdzie w tym dziale swoich ocen; trudno się jednak powstrzymać od kilku uwag: w zestawieniu tym znalazły się nazwiska znakomite, obok nazwisk mało reprezentatywnych dla polskiej sztuki teatralnej. Uderza np. brak J. Grotowskiego, nie ma ani jednego łódzkiego reżysera. Ponadto ilość linijek, poświęconych poszczególnym reżyserom, wywołać może ostry protest. Np. twórczości K. Skuszanki poświęcono bez mała tyle miejsca, co L. Schillerowi, znacznie natomiast mniej niż W. Horzycy i... St. Wyspiańskiemu. Warto dodać, że w portrecie P. Brooka przypomniano o wpływie koncepcji J. Kotta na jego stratfordzką inscenizację „Króla Lira", a w życiorysie artystycznym włoskiego reżysera A. Fersena — że terminował u L. Schillera. W tym również dziale jest ogólny artykuł o polskiej sztuce teatralnej na przestrzeni tego czasu, gdzie już zostały właściwie wyważone proporcje.

Cenne jest wszak to, iż nareszcie obcy czytelnik otrzymał garść uporządkowanych informacji.

S. K.

POLONICA

PANIE REDAKTORZE!

W roku bodaj 1958 ukazał się w „Odgłosach" mój wiersz pt. „Poemat niedoskonały". Następnie znalazł się on w tomiku wydanym przez Wydawnictwo Łódzkie.

W wierszu tym piszę:

„Wrona która usiadła
na skrawku
stłuczonego nieba
w koleinie
między wschodem
a zachodem
nie jest ptakiem

a dalej:
to tylko przecinek
po słowie jesień"

O tym zapomnianym już przeze mnie wierszu przypomniał mi J. Banasiński pisząc w ostatnim numerze „Odgłosów"

„Na kawałku
złamanego horyzontu
siedzi wrona
nie to nie wrona
to przecinek
przecinek w zdaniu,
które nazywa się
życiem"

Na marginesie tej zbieżności, którą niektórzy nazywają „pożyczką" dodam, że lepiej korzystać w tym względzie z utworów klasyków. Po pierwsze są lepsze, po drugie ich autorzy nie żyją.

JERZY WILMAŃSKI

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Zakończył się Kongres Kultury i delegaci, złożywszy na ręce prezydium około tysiąca wniosków, wrócili w rodzinne strony, gdzie relacjonują i dzielą się wrażeniami. Zabierają się również do realizacji wytycznych Kongresu. Grupa łódzkich uczestników Kongresu przygotowuje się do kampanii pokongresowej. M. in. do uzupełnienia i korekty istniejących już planów rozwoju kultury na najbliższe lata. Głównym kierunkiem działania będzie koordynacja zamierzeń, wykraczająca daleko poza rozumiane w ścisłym tego słowa znaczeniu, środowisko kulturalne. A więc nawiązanie ściślejszej niż dotychczas współpracy ze środowiskami naukowymi, technicznymi, nauczycielskimi itd. Na 19 bm. przewidziano naradę uczestników Kongresu, na której wytyczony zostanie plan działania w tej dziedzinie.

PONIEDZIAŁEK

Wojewódzki Zarząd Kin ogłosił wyniki konkursu filmowego dla młodzieży szkolnej. Konkurs dotyczył wyłącznie filmów polskich i miał na celu popularyzację naszej rodzimej twórczości oraz wysondowanie opinii najmłodszych kinomanów o polskiej produkcji filmowej. Na pytania konkursowe odpowiedziało 778 uczestników w wieku od 12 do 16 lat. Mimo to, nie film dla młodzieży zajął pierwsze miejsce. Największe uznanie młodocianej widowni zdobyli „Krzyżacy" (135 głosów), drugie miejsce zajęła „Panienka z okienka" (120 głosów), trzecie — „Barwy walki" (64 głosy). Przyczynkiem do studiów psychologicznych mogą być odpowiedzi na drugie pytanie konkursowe, które brzmiało „Jakie cechy bohaterów filmowych podobają ci się najbardziej". Pierwszego, bezapelacyjnego miejsca udzielono tu odwadze (263 głosów); drugie zajął dowcip i wesołe usposobienie (93 głosy), trzecie — patriotyzm (77 głosów). Niezbyt wielkim uznaniem cieszy się wśród młodego pokolenia mądrość, która otrzymała tylko 28 głosów. Uczuciowość zajęła jedno z ostatnich miejsc. Romantyzm nie jest symptomem naszej epoki, za to duch bohaterski wciąż drzemie w narodzie.

WTOREK

Wyższa Szkoła Muzyczna, jako pierwsza ze szkół artystycznych rozpoczęła rok akademicki, prawie jednocześnie z nią — Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych i Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa. Te trzy łódzkie uczelnie artystyczne kształcą bez mała 800 studentów — przyszłych artystów. A że robią to dobrze — świadczą nazwiska jej absolwentów muzyków i plastyków — nie mówiąc już o filmowcach — znane nierzadko nie tylko w kraju, ale i za jego granicami. Optymistyczne były w tym roku nie tylko podsumowania osiągnięć dydaktycznych i artystycznych w tych uczelniach, poprawie uległy również warunki lokalowe. PWSTiF, gdzie do grona wykładowców wchodzi już drugie pokolenie — absolwenci uczelni, która ma niemal nieograniczone możliwości w zakresie zwiększania liczby studentów dzięki kształceniu pracowników dla filmu, teatru i rozwijającej się wciąż telewizji, oraz rosnącemu zainteresowaniu zagranicy, otrzymała w ub. roku dodatkowy budynek, co pozwoli na wzięcie nieco szerszego oddechu. Ponadto w tym roku uruchomiono dwie dodatkowe jednostki szkoleniowe: 4-letnie studium fotografii użytkowej i filmu reklamowego oraz 2-letnie studium publicystyczno-filmowe dla redaktorów programów telewizyjnych.

Również Wyższa Szkoła Muzyczna mogła trochę „rozprostować kości" po uzyskaniu dodatkowych pomieszczeń, opuszczonych przez wydział aktorski PWSTiF.

ŚRODA

Katedra Filologii Germańskiej Uniwersytetu Łódzkiego, po raz pierwszy chyba w dziejach swego istnienia, przekształciła się na jeden wieczór w scenę teatralną. Dzięki inicjatywie Czytelni Austriackiej w Warszawie, przyjechał do Łodzi na jeden występ, bawiący w Polsce aktor wiedeński Herbert Lederer, właśnie do Katedry Germanistyki UŁ. Znany aktor, reżyser i dramaturg, w 1960 r. założył w Wiedniu Teatr Jednego Aktora i zainaugurował sezon XIII-wiecznym utworem „Meier Helmbrecht" Wernhera dem Gartenaere, który pokazał właśnie w Łodzi. W ciągu 6 lat Herbert Lederer przygotował 9 programów, m. in. „Till Eulenspiegel" i „Stary człowiek i morze" według Hemingwaya.

CZWARTEK

Od 1 czerwca do 30 września trwał zorganizowany przez Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, konkurs na najlepiej przygotowaną w 1966 r. do sezonu turystycznego miejscowość w naszym województwie. Jury konkursowe, po niewątpliwie żmudnych penetracjach terenu, uznało godnym pierwszej nagrody w kategorii miejscowości o znaczeniu ogólnopolskim — Sulejów w pow. piotrkowskim, zaś w kategorii miejscowości o znaczeniu regionalnym — Uniejów w pow. poddębickim. Miejscowości te wezmą udział w konkursie ogólnopolskim. Drugie miejsca zajęła Spała i Głowno, trzecie — Łowicz i Kolumna, czwarte — Łęczyca i Wieruszów.

PIĄTEK

A tymczasem Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych wraz z „Głosem Robotniczym" i ŁOT ogłosiło konkurs „Złotej Palety 1966 r.", mający na celu upowszechnienie kultury plastycznej wśród mieszkańców Łodzi. Uczestnicy konkursu mają wyrazić swój sąd o twórczości łódzkich plastyków i podać jedno lub więcej nazwisk ulubionych artystów. Co zmusi niewątpliwie do obejrzenia choćby paru wystaw. Czasu jest sporo, bo konkurs trwa do końca roku. Plastyk, który otrzyma największą ilość głosów stanie się właścicielem „Złotej Palety", a między uczestników rozlosowane zostaną nagrody. Wypowiedzi wysyłać należy do T.P.Sz.P., ul. Traugutta 18.

SOBOTA

W Klubie MPiK odbyła się miła uroczystość wręczenia nagród ufundowanych przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi za prace publicystyczne, które ukazały się w ostatnim półroczu na łamach „Odgłosów".

Laureatami zostali: Andrzej Makowiecki — za reportaże o Łodzi współczesnej i Jerzy Urbankiewicz — za reportaże o Łodzi dawniej

Nagrody wręczył przewodniczący TPŁ — Eugeniusz Ajnenkiel. Uroczystość ta stała się okazją do ożywionej dyskusji na temat spraw kulturalnych naszego miasta.

T. WOJ.

ANTONI SZRAM

Seryjne MADONNY AKTORKI i drzewa

(Kartki z wystawy)

Wszystkie znaki na niebie wskazują na dobrą passę oddziału propagandy Biura Wystaw Artystycznych. Ani śladu przemęczenia dużą serią imprez artystycznych przed Kongresem Kultury: przeciwnie, powodzenie jakim cieszyły się wystawy m. in. biżuterii artystycznej Ryszarda Kulma, malarstwa i rysunku Marii i Wacława Kondków, grafiki Gaja, Jackowskiego, Pietscha, jakby zmobilizowały wreszcie naszych organizatorów życia plastycznego do zwiększenia wysiłków, a kto wie czy nie przełamały dawnych oporów, przypadkowego programowania. Skłonni raczej do narzekań na odgrzewanie starych, nieciekawych wystaw w czasie wakacji, na nudę i „puchy" — dzisiaj mamy wyłącznie powody do zadowolenia.

Komentowanie radosnych wydarzeń artystycznych — tylko pozornie łatwiejsze — budzi przeważnie mieszane reakcje. Od wysokości temperatury wokół wystawy zależy zmontowanie recenzji. A ze ścian BWA, jak na jesień, emanowało dużo ciepła. Ba, ale w końcu czyja to zasługa? Źródło tkwi w skojarzeniach i napięciu towarzyszącym w czasie zwiedzania prowokujących przeglądów, ekspozycji, w czasie oglądania prac autorów o nie byle jakim talencie. Do takich na pewno trzeba zaliczyć Wacława Kondka, trzech krakowskich grafików: Jacka Gaja, Tadeusza Jackowskiego, Andrzeja Pietscha.

Streszczoną ocenę zacznę od uwag na temat ambitnych realizacji malarskich Kondka. Folklor, sztuka ludowa, architektura, muzyka są niczym innym jak właśnie sprawnym dostarczycielem doznań rzeczywistości autentycznej, choć relatywnej. Pełnią dla malarza funkcję poznawczą o jaką widzowi tak bardzo chodzi. Wacław Kondek w sposób — trzeba to przyznać i podkreślić — bardzo zręczny, chwalebny, wykorzystuje młodość swego spojrzenia i doskonały warsztat techniczny grafika (ma on za sobą różnorakie doświadczenia: grafika, malarstwo, rzeźba, ceramika, scenografia, film, pisarstwo).

Zarzuty, jakie nieraz można usłyszeć ze strony nowatorów plastyków, tendencyjnych krytyków — niczego tu nie zmienią. Uściślijmy nieco ocenę. Zerwanie ze schematem, wyzwolenie się od schematu zależy od umiejętności uwierzytelnienia znaku plastycznego w jak największym bogactwie autentycznych determinant określających naturę, człowieka, rzeczywistość.

Kondek, jak niewielu ma talent, posiada bogactwo umiejętności, możliwości wprowadzania wszystkiego do swoich dzieł. Te owoce zbieramy pełną garścią w każdej dyscyplinie sztuki przez niego uprawianej, każdego dnia.

Wystawa krakowskich grafików w Salonie Sztuki Współczesnej cieszyła się zasłużonym powodzeniem. Utalentowani artyści po raz pierwszy w swej niedługiej karierze wystawili w naszym mieście cykle znakomitych grafik. Ich twórczość już na Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie wzbudziła ogromny zachwyt Jurorów. Przypomnę, że miedzioryt Jacka Gaja „Drzewo" uzyskał najwyższe wyróżnienie regulaminowe Biennale. Już sam ten fakt wystarczy, aby wzbudzić zrozumiałe zainteresowanie bogatą ekspozycją.

Pokazano ciekawe serie, utrzymane w intelektualnej atmosferze i problematyce. Wspomagane wirtuozostwem rytu i dreszczem uzyskanej przestrzeni, faworyzuja jeden temat: homo sapiens, a swoim nowatorskim wyrazem plastycznym dają niemało satysfakcji. Źródło zawartej tam energii promieniuje w formie uchwytnej, choć trudnej do określenia, podobnie jak trudne do określenia jest cierpienie bądź siła buntu. Można powiedzieć, że na przykład Gaj określił martyrologię człowieka, że stworzył jego świat niemal wyczuwalny. Pietsch i Jackowski w silnie skontrastowanych światłem i cieniem akwafortach, akwatintach tworzą traktat o człowieku i to pod wieloma względami z tematu psychologicznie prawdziwego, gorzkiego. Jest tu rodzaj marzenia na jawie, które ma dopomóc człowiekowi w obiektywizacji przeżyć. Komedia ludzka znalazła tutaj syntetyczne odzwierciedlenie; cykle: „Epitafium dla jelenia", „Aktorka" — Andrzeja Pietscha, cykle: „Pejzaż", „Zamek", „Podróż", „Drzewo" — Tadeusza Jackowskiego, „Strzelnica", „Drzewo", „Spadek", „Drzewa", „Śpiewak" — Jacka Gaja. Zobiektywizowane, własne, całkowicie intymne marzenia i sprawy społeczne zostały tutaj połączone dzięki umiętności mówienia półgłosem, która to umiejętność jest przywilejem wszystkich trzech. Zarówno Gaj, Jackowski jak i Pietsch reprezentują ostry zwrot ku rzeczywistości, ujawniają jej skarby. Może jest tu za wiele wszystkiego na raz. Może jest to zaleta i zarazem pośredni rys charakterystyki artysty — człowieka, zalanego przez rzeczywistość, szturmowanego przez jej konflikty i problemy, koguciego w swym buncie, szczerzącego wytrwale zęby w kierunku eksperymentu uładzonego, jakiego jesteśmy dziś świadkami. Obserwacje życia poczynione przez Andrzeja Pietscha a zamknięte w cyklu „Aktorka", uchwyciły gorzki smak prawdy o tych człowieka najskrytszych tęsknotach, zapomnianych, starych, nie umiejących pogodzić się z własnymi porażkami. Stworzone obrazy, to projekcja świata wyobrażonego na formy rzeczywiste. Lecz metoda, którą operuje absolutnie bez skrępowania konkretnym obrazem „rzeczy" zmierza do równowagi między światem wyobrażeniowym a rzeczywistością. Doświadczenia Pietscha wdarły się do mowy plastyki, zarówno do jej tkanki filozoficznej jak i zaszyfrowanych w niej podkładów nowej obyczajowości i nowych psychologicznych kompleksów (zob. cykl „Dolina"). Takie ujęcie tematu wydaje się być szczególnie słuszne w stosunku do życia psychicznego zwłaszcza, kiedy jego marzenie jest formą satysfakcji i wyzwoleniem, niekiedy nawet rodzajem ucieczki („Epitafium dla jelenia").

Poruszają nas akwatinty Jackowskiego składające się na wymowny cykl: „Pejzaży", „Drzew", „Zamków", „Podróży". Ich oszałamiające działanie nie pozostawia widza obojętnym, bezbłędnie trafia w „nerw dzisiejszości". Oszczędna ekspresja i nastrój rozdygotanych oświetleń, wyciemnień — plam białych i czarnych odziela od życia siłę autonomizacji pewnych jego cech i stanów. Grafik — Jackowski szuka odnowienia siebie i samego życia w nowym z nim styku („Planeta", „Zagubieni"). Jest to próba pokazania małych rewolucji na co dzień, które dzieją się niemal stale w człowieku, jego wewnętrzne procesy alienacyjne („Pejzaż III"), kryzysy i wyjścia z kryzysów (cykl „Podróże") — to nie jest bagatelne. Egzotyka „Pejzaży" i „Podróży" ich powaga w zestawieniu barwy, plam i kresek, monumentalność i dostojeństwo kompozycji, symbolizm znaków graficznych, nadają w sumie tym cyklom sens metaforyczny. Generalnie biorąc, autor ofiarował widzom klarowną, imponującą całość reprezentatywną dla nowej orientacji, do której należy przyszłość. Na zakończenie zwróćmy jeszcze raz uwagę na źródło tak wspaniałych rezultatów. Wszelkie najbardziej nawet fachowe definicje stają się niejasne w momencie oderwania ich od podłoża, na którym wyrosła **sztuka** trzech krakowskich grafików w momencie oderwania ich od tradycji plastycznych, z którymi zetknęli się w pracowni prof. Mieczysława Wejmana, studiując w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Stąd wzięła ona swoje imię, wyniosła poznanie wielu kultur, skrystalizowała własną koncepcję artystyczną.

Jakby dla uwieńczenia tej dobrej passy Biura Wystaw Artystycznych, za kilka dni spotkamy się na innej rewelacyjnej wystawie prekursora sztuki op art'u, znakomitego artysty Berlewiego. Ostatnio bowiem BWA przyczynia się do popularyzowania najlepszych osiągnięć twórczych polskiej plastyki.

SPEKTAKLE tygodnia

TEATR

NOWY					
„Trojanki"	2	spektakle	650	„	50%
„Kowal, pieniądze i gwiazdy"	4	„	1.600	„	70%
„Panna młoda"	2	„	650	„	50%
NOWY MAŁA SAŁA					
„Indyk"	1	„	200	„	100%
„Drewniana miska"	2	„	360	„	80%
„Ojciec"	2	„	400	„	90%
JARACZA					
„Kto się boi Wirginii Woolf"	4	„	1.948	„	72%
7.15					
„Taka noc nie powtórzy się więcej"	4	„	1.688	„	100%
POWSZECHNY					
„Mocne uderzenie"	2	„	1.203	„	90%
„Tango"	2	„	1.291	„	97%
„My fair lady"	1	„	668	„	100%
„Pies ogrodnika"	1	„	465	„	70%

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają stosunek procentowy liczby widzów do ilości miejsc na widowni.

KRONIKA Antytelewizyjna

„ZA KULISAMI"

Wygląda na to, że Telewizji wiele będziemy zawdzięczać, jeśli idzie o upowszechnianie puścizny Cypriana Kamila Norwida. Nie sprawia kłopotów upowszechnianie dobrych piosenek, one same radzą sobie bez większej pomocy, upowszechnianie tego co trudne — oto wysiłek zasługujący na uznanie. Utwór dramatyczny „Za kulisami", czyli „Tyrtej" nie doszedł do nas w całości, a i powstawał długo, może stąd jego niejednolitość. Komentarz J. W. Gomulickiego wiele wyjaśnił, inscenizacja wyjaśniła jeszcze więcej, choć trzeba było mieć cierpliwość, gdyż jako tako dopiero pod koniec połapałem się w całości, złożonej z dwóch warstw, zdołałem uchwycić paralelę, konfrontacje losów dwóch poetów — greckiego Tyrtajosa i polskiego Norwida.

Niemniej nie mogę opędzić się wrażeniu, że są to okruchy wspaniałego, ale rozbitego zwierciadła. Norwid walczący o pogląd na świat i na sprawy polskie, poeta treści — nie może chyba w pełni dotrzeć ze sceny, skoro jego teksty pełne są podkreśleń, dużych liter, dziwacznych niekiedy znaków przestankowych, co tu ukrywać, dziwactwa na znakach przestankowych nie wyczerpują się. Norwid częściej wymaga obcowania z tekstem za pośrednictwem wzroku niż słuchu.

Muszę się przyznać, że lepiej odczułem rozrachunki osobiste poety, niż dramat greckich bohaterów. Nieodparcie nasuwa się analogia z „Dziadami" Mickiewicza. Tam przeżycia osobiste zobiektywizowały się, bez porównania dobitniej uzyskując wielkie uogólnienia. Pomijając różnicę w czasie, Mickiewicz czuł się powołanym i wybranym, Norwid wypowiada się w „Za kulisami" jako odtrącony.

I właśnie dramat odtrąconego, dramat wyszydzonego, którego motywem może być przejmujący wiersz „Na posadzkę zapustnej sceny", brzmi szczególnie silnie, tym bardziej, że spektakl nie poskąpił wyraźnych aluzji do życiorysu poety, można przecież było z łatwością ustalić: hrabia Omegitt to sam Norwid, Lia w bieli to pani Kalergis.

Obcowaliśmy z urywkami myśli; z wielkiej piękności fragmentami poetyckimi (jeden z nich to przecież motto „Popiołu i diamentu") z „Dedykacją" (O! Ty, młodości mej stolico; Z bruku twego rad bym mieć kamień, Na którym krew i łza nie świecą!) A jeśli chodzi o przedstawienie, ze scenami o podbijającej wymowie. Jest to na pewno sukcesem Kazimierza Brauna oraz aktorów. Było to jedno z najambitniejszych przedstawień telewizyjnych akcja tragedii „Tyrtej" i akcja z zal redutowych nie rozwijały się oddzielnie, choć i nie zawsze przenikały się, nie zawsze wyłaniały wyraźniejszą paralelę, ale tak musiało być, skoro mamy do czynienia z rekonstrukcją utworu, z reżyserskim układem ocalałego tekstu. Powstaje zresztą pytanie, czy i w wypadku gdybyśmy dysponowali pełnym tekstem, byłoby inaczej. Może to nigdy nie był w pełni skomponowany tekst sceniczny?

Jeszcze trzeba wspomnieć o sarkastycznej satyrze w Zachód i Wschód wymierzonej. I wróćmy na chwilę do aktorów. To był popis kunsztu. Tyle można było podziwiać. Gra utrzymywała uwagę i wtedy, gdy słabło zainteresowanie samą sztuką. Wymieńmy p. Śląską (Lia), p. Radwana (wstrzemięźliwie zagrany Omegitt), p. Borowskiego (Tyrtej), p. Pawlickiego (Mandolin).

* * *

Niedawno Łódzki Ośrodek Telewizyjny przedstawił obrazek historyczny dla młodzieży pióra Al. Rymkiewicza „W chełmińskiej gospodzie". Ostatnio zaś oglądaliśmy „Obręcz korony" Lecha Budreckiego i Edwarda Szustra. „Obręcz korony" była czymś więcej, niż uzupełnieniem lektur szkolnych. Jednak w podobny sposób była związana z Millennium.

Zainteresowała mnie z dodatkowego powodu, oto dopiero na parę dni przed przedstawieniem skończyłem czytać przepiękną i mądrą powieść Teodora Parnickiego „Srebrne orły". Kilka scen z „Obręczy", dotyczących niemieckiego Henryka w wykonaniu Jerzego Walczaka, miało posmak szekspirowski — oczywiście toutes proportions gardées, jak mawia Władysław Rymkiewicz, czyli z zachowaniem odpowiedniej proporcji. Udał się autorom dziwny Otto III, jego skomplikowaną psychikę dobrze oddał Witold Zatorski. Zbyt pastelowo naszkicowano postać Bolesława Chrobrego, jej liryzm uwydatnił Bogusław Sochnacki, chciałoby się jednak ostrzejszego modelunku tej postaci.

Autorzy nie zdobyli się na bardziej konsekwentny język, na troskliwszą stylizację, co nie oznacza, iż mam na myśli archaizację, która nie leżała w zamiarach spółki.

Obraz „Obręcz korony", który autorzy skromnie nazwali scenariuszem, wzbogacił moją lekturę Parnickiego, choć jej walory z czego innego wynikają.

Wystąpił w sztuce chór męski Teatru Wielkiego, co świadczy, iż w tym teatrze już się kompletuje kadrę. Oby był wielki nie ze względu na kubaturę!

Z przykrością natomiast trzeba wspomnieć o wstępie do sztuki, wyjątkowo szkolarskim. Proszę państwa, dlaczego w naszym mieście tak często i przy różnych okazjach pozwala się na to, by prezentowano Łódź jak jakiś grajdołek, w którym nie ma nikogo, kto potrafiłby napisać czy wypowiedzieć choćby poprawny wstęp do nieskomplikowanej przecież sztuki.

Jan Huszczi

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Angielską komedię „SPOSÓB NA KOBIETY" nagrodzoną Złotą Palmą na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes w 1965 roku reżyserował Richard Lester, twórca bijącego u nas rekordy frekwencji rok temu „The Beatles". Rodzajem komizmu „Sposób na kobiety" przypomina bardzo właśnie film o Beatlesach. W obu tych filmach Lester nawiązuje do najlepszych tradycji amerykańskiej burleski z epoki Mac Sennetta oraz „czystego nonsensu" braci Marx. „Sposób na kobiety" przynosi rewelacyjną rolę Rity Tushingham. Niektórzy z krytyków zagranicznych uważają, że choć w zupełnie odmiennym stylu, stworzyła ona w filmie Lestera postać na miarę Jo ze „Smaku miodu".

„Sposób na kobiety" przedstawia w swej komediowej deformacji świat młodych i ich konflikt ze starszym pokoleniem. Lester rozmiłowany w surrealiźmie i absurdzie daje tu także sporo specyficznego liryzmu. Opowiada się całkowicie po stronie młodych. Mówi o nich: „Jestem przekonany, że oni mają racje. I jeśli ludzie w średnim wieku siedząc w kinie potrafią identyfikować się z młodymi, będę uważał, że osiągnąłem swój cel, że wygrałem". Sam Lester przyrównał swój film do starego skeczu radiowego: „cztery guziki odpowiadają czterem różnym programom radiowym — rolniczemu, religijnemu, muzycznemu i wiadomościom. Jeśli się naciśnie jednocześnie wszystkie naraz — popłynie strumień absurdalności; taki właśnie jest „Sposób na kobiety". „Film ten ukazuje bowiem, jak trudno jest młodym porozumieć się i komunikować między sobą. Są obok siebie, ale każdy mówi swoje, dla siebie, nie słuchając drugiego. Naczelnym problemem poruszonym przez Lestera jest sex, erotyzm. Rzadko trafia się tak umiejętne połączenie śmiałości z dużą kulturą w ukazywaniu tych spraw na ekranie.

Humor, fantazja, wdzięk, inteligencja, świetne aktorstwo, bardzo ciekawe, niebanalne zdjęcia i znakomite gagi — oto główne zalety tej doskonałej komedii.

Najnowszy film Kazimierza Kutza „KTOKOLWIEK WIE" podjął trudne zadanie ukazania polskiej współczesności w przekroju społecznym obejmującym bez mała wszystkie warstwy. Aby osiągnąć ten cel twórca zastosował kompozycję polegającą na tym, że film ukazuje wędrówkę dziennikarza poszukującego zaginionej dziewczyny i kontaktującego się w związku z tym z najróżnorodniejszymi środowiskami. Obserwacji tych środowisk dokonać można było pod różnym kątem. Co frapowało reżysera, jaki przyjął punkt widzenia?

„Najbardziej interesuje mnie, jak w konkretnych warunkach historycznych kształtuje się ludzka świadomość. Przewija się to zarówno w „Krzyżu Walecznych" jak i w „Nikt nie woła", w „Ludziach z pociągu", w „Milczeniu" — i także w tym filmie. Interesują mnie ludzie prości, zwykli, przeciętni, próbujący postępować świadomie, a tym samym uczestniczyć w życiu społeczeństwa". Tak określił swoje zainteresowania sam reżyser. I tak istotnie wygląda problematyka jego filmów.

„Ktokolwiek wie" ma ambicje studium psychologiczno-społecznego. Czy faktycznie zrealizowane? Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Nie można odmówić życiowej prawdziwości ukazanym postaciom. Takich ludzi, jak w „Ktokolwiek wie" spotyka się u nas. To prawda. Ale są to przypadki zbyt krańcowe. Ich nagromadzenie sprawia, że film jako całość jest sztuczny, mimo autentyzmu poszczególnych fragmentów. Nie mam tu na myśli — rzecz jasna — kontrastów wieś : miasto, środowisko dziennikarskie : robotnicze z fabryki telewizorów. Ani nawet bezpośredniego zestawienia pielgrzymki do Częstochowy z wycieczką studencką. To bowiem doskonale obrazuje, iż współczesność nasza pełna jest jeszcze przeciwieństw nieraz wręcz szokujących, że nowoczesność ściera się na każdym kroku z głęboko zakorzenioną tradycją, że mentalność naszego społeczeństwa daleka jest od jednolitości. Ale już waśnie rozwiedzionych małżonków Pierzchałów, czy owa matka zaginionej Marysi, do której nie można wejść, bo jest „chora na oczy", więc dziennikarz rozmawia z nią przez otwarte okno — są niepotrzebnym udziwnieniem. Nie dlatego, że to nie mogło zdarzyć się w rzeczywistości. Nie — te sytuacje również mają walor prawdziwości. Ale co z nich wynika? Nie wnoszą one nic do owej zamierzonej charakterystyki społeczeństwa, zaciemniają jego obraz. Bo oprócz faktów ważne są proporcje. Skoro więc raczy się nas co najmniej w połowie sytuacjami, które potocznie zwane są nienormalnymi w sensie ich nietypowości, skoro pozbawia się je jakiejkolwiek motywacji oprócz stwierdzenia: oto są — trudno nie zakwestionować celowości i słuszności takiego rozwiązania. W przekonaniu tym utwierdza mnie fakt, że mnóstwo osób, z którymi miałam okazję oglądać ten film, wyszło z kina w stanie całkowitej dezorientacji. Padały pytania: „co to miało być"?, „o co tu właściwie chodzi"?, na które odpowiadano sobie wzruszeniem ramion lub grymasem zdziwienia na twarzy. Coś nie najlepiej z tym obrazem społeczeństwa w „Ktokolwiek wie", skoro samo społeczeństwo nie umie się w nim „połapać". A przecież Kutz deklarował: „W tym filmie pragnę wydobyć dokumentalną warstwę zdarzeń". I także: „Kompozycja filmu (...) w sposób jakby naturalny odsłania różne warstwy krańcowych nieraz zjawisk społecznych. To jakby odsłanianie warstw geologicznych, patrzenie na Polskę dzisiejszą, kraj nieskończonych, wielkich procesów społecznych". Przedsięwzięcie ambitne, ale — niestety — spełnione tylko połowicznie.

MARIAREL

EDITH PIAF

KABARET „GERNISSE"

Wydarzenie to miało miejsce na kilka lat przed wojną, na ulicy, przylegającej do placu Etoile: była to mała uliczka, która nazywała się Troyon. W tym czasie śpiewałam gdzie popadło. Akompaniowała mi koleżanka, która potem obchodziła naszych słuchaczy w nadziei, że ktoś rzuci nam jakiś grosz.

Tego dnia — było pochmurne październikowe południe 1935 roku — pracowałyśmy na rogu ulicy Troyon i avenue Mac Mahon. Blada, nieuczesana, z gołymi łydkami, w długim płaszczu z przetartymi rękawami, śpiewałam piosenkę Jeana Lenoira:

Urodziła się jak wróbelek,
Żyła jak wróbelek
I umrze jak wróbelek!

Kiedy koleżanka obchodziła „szanowną publiczność", zobaczyłam, że do mnie zbliża się jakiś pan, dostojny, elegancko ubrany. Jeszcze podczas śpiewania zwróciłam na niego uwagę. Pan ów słuchał mnie uważnie, ze ściągniętymi brwiami.

Gdy zatrzymał się przede mną — zobaczyłam łagodny błękit jego oczu i trochę smutne spojrzenie.

— Czyś ty zwariowała? — powiedział bez żadnego wstępu. — W taki sposób można pozrywać struny głosowe!

Nic nie odpowiedziałam. Oczywiście, wiedziałam co znaczy „pozrywać struny głosowe", ale to zupełnie mnie nie niepokoiło. Miałam wtedy inne, poważniejsze kłopoty.

— Jesteś strasznie głupia!... Powinnaś to zrozumieć... — mówił.

Patrzyłam na niego. Był starannie ogolony, elegancko ubrany, sympatyczny, starszy pan, ale to nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Byłam paryską dziewczyną i z byle powodu nie popadałam w zakłopotanie. Dlatego wzruszyłam obojętnie ramionami i powiedziałam:

— Przecież muszę z czegoś żyć!

— Naturalnie, dziecinko... Ale wydaje mi się, że mogłabyś inaczej pracować. Z takim głosem mogłabyś śpiewać w kabarecie...

Mogłam mu powiedzieć, że w podartym swetrze, i w prawie takich że butach i spódnicy trudno jest się spodziewać jakiejś korzystnej propozycji, ale ograniczyłam się tylko do banalnego stwierdzenia:

— Nikt mnie nie chciał zaangażować!

I dodałam złośliwie:

— Chyba, że pan się na to zdecyduje...

— Tak? Dobrze!

— Proszę bardzo. Wtedy pan zobaczy!

— Spróbujemy. Nazywam się Luis Leplette. Jestem właścicielem kabaretu „Gernisse". Przyjdź w poniedziałek o czwartej. Zaśpiewasz coś i wówczas zdecydujemy co z tobą zrobić.

Mówiąc to napisał swoje nazwisko i adres na marginesie gazety, którą trzymał w ręku. Następnie oderwał ten kawałek i wręczył mi razem z pięciofrankowym banknotem. Odchodząc powtórzył:

— W poniedziałek o czwartej. Nie zapomnij!

Włożyłam papierek i pieniądze do kieszeni i znowu zaczęłam śpiewać. Mężczyzna ten trochę mnie zadziwił, ale ja nie bardzo wierzyłam jemu.

Wieczorem, kiedy wróciłyśmy do naszego wąskiego jak szafa pokoju w podrzędnym hoteliku na ulicy Orphila, zdecydowałam, że nie pójdę na to spotkanie. Po pewnym czasie zupełnie o tym zapomniałam. Było już popołudnie, gdy leżąc w łóżku przypomniałam sobie o rozmowie na ulicy Troyon.

Uśmiechnęłam się.

— Bardzo możliwe. Ale ja nie pójdę. Nie wierzę już w cuda!

Mimo to szybko się ubrałam i pobiegłam do metro. Dlaczego zmieniłam decyzję? Nie potrafię powiedzieć. Kiedy Rocky Marciano, były mistrz świata w boksie, myśli o tym, że bardzo łatwo mógłby zostać gangsterem, gdy przypomina sobie wszystkie pułapki, jakie na niego zastawiano, a które on omijał bez większego wysiłku, i dopiero po latach, gdy rozmyśla, pamiętając wszystkie swoje zwycięstwa, mówi, że „w niebie" jest ktoś, kto go bardzo lubi. Jestem gotowa mu uwierzyć. Szłam na spotkanie nie mając żadnej nadziei, przekonana, że niepotrzebnie tracę czas, ale... teraz za nic w świecie nie oddałabym tego spotkania.

Była piąta, kiedy znalazłam się koło „Gernisse". Właściciel lokalu już czekał na mnie przy wejściu. Spojrzał na zegarek i powiedział:

— Spóźniłaś się godzinę. Zupełnie nieźle, jak na początek! Ciekawe co będzie, kiedy zostaniesz gwiazdą?

Nic nie powiedziałam. Poszłam za nim. Po raz pierwszy w życiu przekroczyłam próg kabaretu, który mnie, biednej dziewczynie wydawał się szczytem luksusu. W takich kabaretach — myślałam — podają tylko szampan i kawior, jest to zupełnie inny świat, do którego nie wpuszcza się takich dziewcząt jak ja.

Sala była pusta i tylko w jednym rogu, pogrążony w półmroku znajdował się fortepian. Tam siedziały dwie osoby — kobieta, jak się później dowiedziałam, żona pewnego lekarza, i pianista, prawdziwy mistrz swojej profesji, na szczęście dla mnie, bo wtedy nie miałam żadnego pojęcia o nutach. Zaśpiewałam wtedy wszystkie piosenki jakie znałam. Czego tam nie było: piosenki „okrutne" i te słodkie z repertuaru Tino Rossi. Leplette przerwał mi, kiedy już miałam zamiar zacząć śpiewać arie operowe.

Początkowo byłam trochę zażenowana, potem czułam się już zupełnie swobodnie. Bo, prawdę mówiąc, niczym nie ryzykowałam. Leplette był zupełnie zadowolony i pozytywnie ocenił pierwsze moje wysiłki, dlatego w piosenki, które śpiewałam włożyłam całe moje serce. Jednakże Leplette nie miał ochoty wysłuchać arii z „Fausta", podszedł do mnie i przyjaznym ruchem położył rękę na moim ramieniu.

— Bardzo dobrze, dziecinko — powiedział — Będziesz sławna, jestem tego pewien. Zadebiutujesz u mnie w piątek. Honorarium — czterdzieści franków dziennie. Ale należy pomyśleć o innym repertuarze. Masz własny styl, ale do tego potrzebne są odpowiednie piosenki. Na piątek przygotuj „Bezdomne dziewczęta", „Ponury walc", „Udaję tylko małą", dobrze?

— Oczywiście!

— I jeszcze jedna sprawa. Nie masz innej sukienki?

— Mam czarną spódnicę i sweter. Ale on nie jest jeszcze skończony...

— Do piątku skończysz?

— Pewnie!

W głębi duszy nie wierzyłam w to, ale odpowiedź sama wyrwała mi się z ust. Nie mogłam przecież ryzykować wszystkim tylko dlatego, że brakowało mi takich drobiazgów, jak spódnica i sweter.

— Dobrze — powiedział Leplette. — Jutro o czwartej przyjdź tu na próbę.

Uśmiechnął się dobrodusznie i dodał:

— Postaraj się zdążyć do szóstej. Zrób to dla pianisty...

Już wychodziłam, kiedy mnie zatrzymał:

— Jak się nazywasz?

— Edith Gassion.

— To niedobre na estradę.

— Nazywają mnie również Tatianą.

— Gdybyś była Rosjanką, to byłoby zupełnie niezłe...

— Denise Gey...

Zamyślił się.

— To wszystko?

— Nie. Huguette Elia...

Pod tym nazwiskiem znano mnie na zabawach tanecznych. Ale Leplette i to również odrzucił jak wszystkie poprzednie.

— Nie ma z czego wybrać!

Popatrzył na mnie uważnie, zastanowił się chwilę i powiedział:

— Jesteś prawdziwym paryskim wróbelkiem i najbardziej by ci odpowiadało nazwisko Moineau. Niestety, Moineau już jest zajęte! Trzeba znaleźć inne. Po parysku „moineau" — to „piaf". Dlaczego nie miałabyś zostać môme Piaf?

I tak oto ochrzczono mnie na całe życie.

★

Nadszedł piątek. Starannie przygotowałam się do występu. Nauczyłam się trzech piosenek, które wybrał mi Leplette, a czwarta — z repertuaru Mistinguette — zupełnie mi nie wychodziła. Być może dlatego, że mi się nie podobała. Dlatego postanowiono, że będę śpiewała tylko trzy piosenki. Ale najgorzej było ze swetrem. Nie zdążyłam dorobić jednego rękawa. Mimo to przyniosłam go ze sobą i siedząc w garderobie gorączkowo robiłam na drutach, powtarzając tekst piosenek. Co pięć minut Leplette otwierał drzwi i pytał:

— No jak, co z tym rękawem?

— Prawie gotowy...

Przedstawienie już się dawno zaczęło i nadeszła chwila mojego występu. W piątki zazwyczaj w „Gernisse" zbierała się wyborowa publiczność. Dzisiaj Leplette chciał pokazać „całemu Paryżowi" swoje ostatnie odkrycie. Byłam jedynie małym atrakcyjnym punktem w niezwykle bogatym programie i nie było mowy o tym, abym mogła wystąpić po najlepszych piosenkarzach Paryża.

Wreszcie cierpliwość Leplette'a się wyczerpała. Wszedł do garderoby i powiedział:

— Teraz twoja kolej. Chodź!

— Ależ...

— Wiem. Włóż swój sweter!

— Przecież brakuje jeszcze jednego rękawa.

— Nie szkodzi. Przykryjesz to szalem. Jeżeli nie będziesz machała rękoma — nikt nie zauważy.

Musiałam się zgodzić. Leplette osobiście wyprowadził mnie na scenę.

— Kilka dni temu — powiedział do zgromadzonej publiczności — szedłem ulicą Troyon. Na tejże ulicy zobaczyłem śpiewającą dziewczynę, małą dziewczynkę o bladej i smutnej twarzy. Jej głos poruszył coś w mojej duszy, wzruszył mnie, wstrząsnął. Chciałbym teraz przedstawić ją państwu. To najprawdziwsze dziecię Paryża. Ona nie ma wieczorowej sukni i jeżeli ukłoni się państwu, zrobi to tylko dlatego, że ją wczoraj nauczyłem się kłaniać. Zobaczycie ją taką, jaką ja ją widziałem po raz pierwszy na ulicy: bez szminki, bez pończoch, w taniej spódnicy... A więc, przed wami maleństwo Piaf!

I wtedy wyszłam na estradę. Tajemnicę jej mrożącej krew w żyłach ciszy, jaka mnie spotkała, poznałam dopiero wiele lat później. Nie wyrażała ona jakiejś wrogości, a jedynie była naturalną reakcją ludzi, którzy po prostu zastanawiali się: czy przypadkiem właściciel „Gernisse" nie zwariował? Ludzie ci przyszli do kabaretu, aby się rozerwać i nie byli zadowoleni, kiedy im przypominano, że na ziemi, prawie tuż obok nich żyją takie dziewczęta jak ja, które nie mają co jeść i prawie giną w nędzy. Nie bardzo pasowała moja zniszczona spódnica i blada, jak u zjawy twarz, do tego bogactwa, jakie widziałam na sali. Nie wątpiłam, że i na to oni zwrócili uwagę. Paniczny strach, o istnieniu którego jeszcze przed chwilą zupełnie nie miałam pojęcia — nagle mnie sparaliżował. Najchętniej bym wtedy uciekła, ale powstrzymałam się, bo nie należę do ludzi, którzy łatwo załamują się w obliczu trudności. Wręcz przeciwnie. One mnie jeszcze dopingują. W chwilach, kiedy już czuję się pokonaną — nagle spostrzegam przypływ nowych sił i znowu zaczynam walczyć. Dlatego nie uciekłam ze sceny. Oparłam się o kolumnę, założyłam do tyłu ręce, uniosłam głowę i zaczęłam śpiewać.

Słuchano mnie. Powoli mój głos stawał się bardziej pewnym, przestałam się bać i nawet zaryzykowałam popatrzeć w głąb sali. Zobaczyłam uważne, wpatrzone we mnie twarze. Żadnych uśmiechów. To dodało mi odwagi. Byli mną zainteresowani. Poczułam się bardzo swobodnie i przy ostatniej piosence, zapominając o ostrożności, uniosłam obie ręce do góry. Z aktorskiego punktu widzenia był to gest znakomity, ale dla mnie wtedy okazał się wręcz tragiczny: szal ukrywający brak jednego rękawa — spadł z moich ramion. Poczerwieniałam ze wstydu. Łzy nabiegły mi do oczu. Czekałam, że za chwilę sala wybuchnie strasznym śmiechem, a ja pobiegnę za kulisy, ucieknę pędzona natrętnym gwizdem...

Nikt się nie śmiał. Nie wiem jak długo trwała ta cisza. I wreszcie burza oklasków i okrzyki „brawo", które zabrzmiały wtedy dla mnie jak najpiękniejsza muzyka.

— Brawo, maleństwo, brawo!

Był to głos Maurice'a Chevaliera.

Po tym występie radość moja szybko rozwiała się. Zbyt łatwo mi to przyszło! Byłam wtedy prawie dziewczynką, ale mimo to doświadczyłam już wiele w życiu. Kiedy człowiek przyzwyczai się do niepowodzeń — trudno jest przeżyć nawet najmniejszy sukces. Dlatego pomyślałam sobie, że te wszystkie oklaski są po prostu wielkim złym żartem.

Leplette był innego zdania.

— Pokonałaś ich, zdobyłaś ich sympatię! I tak będzie zawsze aż do końca twoich dni!

Leplette, jak się później okazało, był dobrym prorokiem. I prawdę mówiąc, właśnie jemu zawdzięczam to, że zostałam śpiewaczką.

Tłumaczył:

ROMAN GORZELSKI

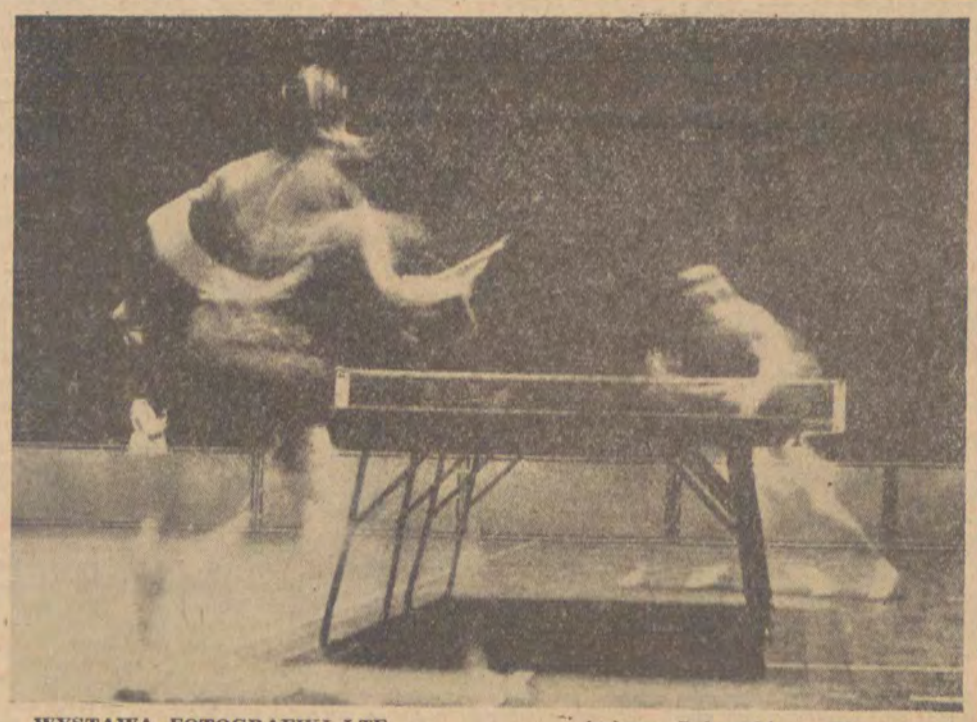

WYSTAWA FOTOGRAFIKI ŁTF. *Andrzej Dębowski — Ping-pong.*

Lewym okiem

DZIESIĘĆ MILIONÓW TUBEK

Uważne a cierpliwe śledzenie prasy codziennej i tygodniowej prowadzi niekiedy do wniosków, które mało kto ma odwagę sprecyzować i poddać dyskusji. Jakieś tam informacyjki podawane najmniejszym drukiem, takim dla nastolatków, którzy tego na pewno nie czytają, jakieś wzmianeczki — a któż by to uogólniał i po co?

A jednak, proszę państwa, a jednak.

W styczniowym numerze „Życia Gospodarczego" podano, że handel zakupił w roku ubiegłym o dziesięć milionów tubek pasty do zębów mniej, niż zakładano w planie. Dlaczego mniej? Bo przedtem zdarzały się braki pasty na rynku, a kiedy podniesiono produkcję — okazało się, że nie ma chętnych. Jednocześnie dziewięćdziesiąt pięć procent rodaków cierpi na próchnicę zębów, wykrzywia się i syka z bólu, zagłusza go okładami ze spirytusu i światek toczy się dalej.

W pół roku później, w lipcu, przeczytałem równie króciutką wzmiankę o tym, że zapotrzebowanie na mydło i proszki do prania w pierwszym półroczu bieżącego roku znacznie spadło w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego. O jedenaście procent. Wzmianka nie podaje, czy co dziewiąty obywatel przestał się myć w ogóle, czy też wszyscy obywatele zafundowali sobie co dziewiąty dzień wolny od mycia. Już nawet mamy postoje w niektórych mydlanych zakładach: nie mają odbiorców. Nie przypuszczam, żeby miała tu jakiś wpływ reklama „Argedu", ujęta w zgrabny wierszyk:

Zabłocki wyszedł źle na mydle,
lecz ciebie to nie spotka,
gdyż przyjaciela znajdziesz zawsze
w piorących różnych środkach.

Czyli: nie kupuj mydła (w Argedzie), bo wyjdziesz na tym jak Zabłocki, kupuj natomiast (w Argedzie) proszki. Można by drugą strofkę ująć w morał odwrotny i już nikt niczego nie kupuje, a wszyscy czytają wiersze.

A więc mimo wyżu demograficznego mniej zużywamy pasty do zębów, mniej mydła, mniej proszków do prania. Jestem za to pewien, że wzrasta popyt na różne farby, lakiery i tusze kosmetyczne. W żadnym kraju nie zobaczysz tak kolorowych damskich fryzur jak na naszych ulicach. W niemieckich i bułgarskich miastach mogłem stawać o zakład, że idąca naprzeciw pani z włosami błękitnymi lub pomarańczowymi to Polka. Rzeczywiście, stawała przy wystawie z kożuszkami lub — w Lipsku — z dederonową bielizną. W żadnym kraju piętnastoletnie pensjonarki nie straszą tak jak u nas demoniczną głębią oczu, posmarowanych grubo czarnym tuszem, i fioletowymi wargami topielic. A no cóż, uczyli mnie kiedyś, że najbardziej wyszukanym, dwupiętrowym koafiurom rokokowych dam i galantów towarzyszył najgłębszy upadek higieny. Historia lubi się powtarzać.

A jeszcze pozwólcie na małe interludium. Wzdychał niedawno Kopaliński w Warszawie z żalem niemałym, dlaczego to w starej przedwojennej ruderze winda działa sześćdziesiąty rok bezszmerowo i bezawaryjnie, a w nowoczesnym wieżowcu, supernowoczesne, udoskonalone, szybkobieżne dźwigi (tak się teraz mówi) trzaskają ogłuszająco, psują się co trzy dni i zamiast szybko biegać — stoją między piętrami? Jakże rozumiemy frasunek Kopalińskiego! Bo oto: dlaczego na pięknym, tylko co oddanym do użytku gmachu zakładów poligraficznych przy ulicy Armii Ludowej spadł nad samym głównym wejściem potężny kawał tynku razem z murem i odsłonił szpetną dziurę, a ze starych, ohydnych fabrycznych ruder, trzęsących się od stu dwudziestu lat gorączką nieustannej pracy, nie spada ani jedna cegła?

Smutno zadawać pytania, na które nie będzie odpowiedzi. Kończymy więc. Sapienti sat.

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2914.X.66. E-11